

W NUMERZE:

STEFAN JAROCIŃSKI — Pomówmy o muzyce
ALFRED LIGOŃSKI — Sprowadzić na ziemię dyskusję o malarstwie
JANUSZ BOGUŃSKI — Polemika i kilka wniosków
JÓZEF MORTON — Gdzieś w terenie
JACEK BOCHENSKI — Wielka technika (Notatki z podróży po Z.S.R.R. (3)
WITOLD WIRPSZA — Wiersz
KAZIMIERZ WEJCHERT — Urbanistyka na warsztacie
ADAM PAWLIKOWSKI — „Pościąg”

Przegląd kulturalny

Pochwała konkretu

Dwa dni obradowali w stolicy kronikarze dnia codziennego naszego kraju, korespondenci „Gromady”, ludzie często nieudolnie stawiający jeszcze na papierze pisarskie znaki, ale dający w tym, co piszą, stokroć większą wiedzę o Polsce od najbardziej obkutej publicysty. Ludzie, którzy nie boją się — ale których boją się kuliacy, złodzieje, geszefciarze, biurokraci — wszyscy, co swoją robotkę lubią wykonywać po cieniu, po cichutku. Zbyt gromkich okrzyków „na cześć” korespondenci też zresztą nie lubią, o nie! każdy niefortunny dyskutant zjazdowy, który miał mówić konkretnie i krótko dał się porwać frazeologicznemu krasomówstwu, zganiany był bez litości z mównicy. Czym? Oklaskami, na jakie — o ironio! — tak bardzo są łasi pułstomówcy.

Zjazd korespondentów chłopskich „Gromady” omawiał sprawy związane z reformą rad narodowych i wyborami do nich. Sala zjazdowa była więc jakby wielkim arkuszem sprawozdawczym z akcji przedwyborczej. Tym ciekawszym, że bez okragłych i podłużnych pieczętek, tym wartościowszym, że nie prze-filtrowanym ani przez sito urzędników z biur w miastach powiatowych i wojewódzkich, ani przez mechanizm redakcyjnej adiestacji lubującej się tak bardzo we wstawianiu do oryginalnych tekstów utartych wstępniakowych zwrotów.

SPRAWY OGÓŁU

...kiedy w artykule pisanym przed tygodniem przytaczałem kilka tak zwanych „interwencyjnych” listów korespondentów „Gromady”, licho pokusiło mnie łatwym słowem — „od razu”. Ze niby od razu po przeprowadzeniu reformy zinniejszy się liczbę interwencji wędrujących aż do stolicy, że od razu będzie na wsi lepiej. Błąd się teraz szpaltemi następnego artykułu w pierś. Samokrytycznie.

Z tego, co usłyszałem na naradzie korespondentów chłopskich „Gromady” wynika, że w okresie przedwyborczym wzmagają się — i nabiera coraz ostrzejszych, wyraźniejszych form walka klasowa na wsi. Zawsze, im ostrzejsza będzie ta walka, tym bardziej będzie kasał wróg” (Józef Rzeszutka ze wsi Naprawa). Korespondenci mówili o tym, że kuciacy czują się poważnie zagrożeni reformą rad i wyborami. Prowadzi to bowiem w rezultacie do ich separacji od ogółu wsi, ogółu pracujących, bezpartyjnych chłopów. „Szykujemy się do wyborów gromadzkich rad narodowych. Lokal dla przyszłej gromadzkiej rady jest całkiem wyszykowany, światło zaprowadzone, wszystko wyszykowane, czeka na nową władzę ludową. Większość chłopów u nas cieszy się z nowego. Ale jest kilku Maciejów, którzy ruszają wąsami i chcieliby po staremu. Partia — mówią, niechby sobie była po to, żeby im dzieci kształciła, no i ta pomoc sąsiadka też może być, bo to konikami się pomoże, a ten biedniak też nie odmówi pomocy i tyrać będzie od świtu do nocy za te koniki. A ofiarę się oni! Jak księżulek co potrzebuje, to się zaraz ofiarka znajduje, tysiąc złotych i więcej. Ale co do państwa to zachowaj boże narzekania, siękania na podatki, oczekiwanie jakiejś błogiej amnestii podatkowej! Po wyborach uważam, że się zmieni. Ale nie od razu. Same uchwały niczego nie zrobią. Od ogółu chłopów, od nas samych zależy, żebyśmy tego dopatrzili”. (Bolesław Kłysz, wieś Charlupia Wielka, pow. sieradzki).

Wiele wsi dzielił prócz istotnego podziału klasowego inny jeszcze podział: na aktyw i tak zwany szary, bezpartyjny ogół. Aktyw był często gęsto nielubiany. Często oderwany był od ogółu. Często aktywni uważani byli przez ogół za jakiś wyższy stopień wtajemniczenia, ponieważ monopolizowali on w wsi kontakt z terenowym panem bogiem — urzędem gminnym. Dobrze wyrażał to odseparowanie od ogółu bezpartyjnych chłopów St. Luczyński (wieś Michałów, kielecki): „Ty mnie nie rusz, to i ja ciebie nie ruszę” — tak mówili niektórzy aktywiści. W tej samej złej zasa-

dzie „ty mnie nie rusz” upatrywał Seweryn Skulski, samorodny poeta ludowy, przyczyn tego, że „nasze gminne zebrania są nieme”.

„Ludzie nie chcieli się narażać” — tłumaczył Antoni Przywara z lubelszczyzny. Bierność — mówiono na Zjeździe — była na rękę wrogom. I oto zbliża się zmiana. W dniu wyborów „narażają się” wszyscy. Narażają — bo zaangażują się aktywnie wobec nowych rad, wypowiedzą otwarcie swoje o nich zdanie, ustosunkują się do swego, często małego, na terenie jednej czy kilku wsi planowanego Programu Frontu Narodowego.

SPRAWY PROPAGANDY

Korespondent Wieczerek ze wsi Żywiec wyraził na zjeździe obawę „aby nasze (korespondenckie) stałe paranie się krytyką nie weszło nam zbyt w krew”. Nie wiem, o ile zaważył na wypowiedzi Wieczorka fakt, że został on wysunięty na kandydata do nowej rady. Myślę, że choć zaważył nieco, ostatecznie nawyk zwyciężył. Wieczerek nie wytrzymał i pod koniec swego wystąpienia skrytykował ostro i służnie program wyborczy miejscowego Komitetu Frontu Narodowego za ogólnikowość: „wisi wielka płachta na desce, mało kto nawet spojrzy”. Obie sprawy poruszone przez tego korespondenta wielokrotnie odbijały się w wystąpieniach innych dyskutantów. Wieczerek bowiem dotknął bólowego miejsca.

Zły, ale uparty nurt naszej propagandy jak przedtem tak i w okresie przedwyborczym zbyt często miedli wielkie słowa: „Program Frontu Narodowego to dobrobyt dla mas” — „kto nie zgadza się z tym — jest wrogiem”. I tak zaciera się linia podziału klasowego, linia walki. Kto nie zgadza się na dobrobyt? Śmieszne. Kulak też obiema rękami podpisze się za dobrobytem.

Jak należy rozumieć dobrobyt? Oto pytanie dla naszej przedwyborczej propagandy, dla programów wyborczych. Jak należy propagować dobrobyt? — Oto pytanie, do którego często wracali korespondenci „Gromady” na swym zjeździe. Czy we wsi Wólka lub Głodówka zaspokoili się pragnienie dobrobytu najpiękniejszym chociażby opisaniem powabów Nowej Huty i Pałacu Kultury w Warszawie? Pałac Kultury daleko, a na miejscu sołtysowa chowa kury w świetlicy gromadzkiej i idzie szepczana oszczerza plotka przeciw członkom komitetu założycielskiego spółdzielni.

Zły, nie przewyżczony jeszcze do końca, uparty nurt w naszej propagandzie wziął się nierzadko w umysł urzędników powiatowych rad narodowych obsługujących większość gromadzkich zebrań przedwyborczych. Byłem niedawno na takim zebraniu. Aktywista FN z powiatu górzecki długo i nudnie o założeniach Planu Szóstoletniego „we wogóle”, potem przestraszył się krytyki usłyszonej od zebranych na sali, a wreszcie zaczął tę krytykę wykopywać na aut, w ten mniej więcej sposób: „Nie wierze, obywałe, że jesteście naprawdę przeciwni naszej rzeczywistości!”. Zapomniał biedak, tak jak zapomina często nasza propaganda, że „zgadzanie się” może być jednocześnie — nie zgadzaniem się. Ze można popierać zasadnicze formy ustrojowe, a nie zgadzać się na biurokrację, kacykostwo, złą politykę kadrową, sloganiarstwo. Nie można też mierzyć całej Polski i każdej wsi z osobną tą samą miarą. Niestety, rozumowanie takie występuje dość często.

Ale wróćmy do konkretów. Z niezwykłą swadą występowała na zjeździe Bronisława Rymasa z powiatu Dąbrowka. Opowiedziała ona kilka zabawnych anegdot kończących się nieodmienną pointą „...a gdyby u nas we wsi był telefon!” i wołała: „chcemy telefon!”.. Potem opowiadała o błocie, rozlanych rzeczach, zerwanych mostkach i znów każdą historię kończyła wykrzyknikiem: „chcemy cementowych mostków!”.

Niektórzy z zebranych na sali uśmiechali się z ironią: że niby skąd akurat takie żądania? Ja sam

STEFAN KOZICKI

myślałem podobnie: dlaczego cement na mostki akurat dla Dąbrowki. A Nowa Huta to pies? Zrozumiałem mój błąd, kiedy okazało się, że Rymasa odkryła ciekawą drogę, jaką odbył cement już przydzielony dla jej rodzinnej wsi. Od miasta wojewódzkiego poprzez powiat i gminę „szedł ten cement tak dziwnie, że połowa jego wsiąkała nie wiadomo gdzie”.

Przyjemnie było słuchać żądań chłopów: Chcemy telefonów, izb porodowych, mostków cementowych, świetlic, elektryczności! — przyjemnie było wiedzieć, że są to żądania w przeważającej części realne. Ale nie ma jednorodnego uczucia. Tak jak w wystąpieniu Rymasy z poczuciem wielkich perspektyw rozwojowych wsi może się jednocześnie wiązać uczucie żalu czy wściekłości. Bez tej wściekłości, bez zjadłości nie byłoby walki z wrogami, nie byłoby postępu, nie byłoby optymistycznych programów wyborczych.

Pióro korespondenta „razi jak karabin celnie” ponieważ naboje do tego karabinu stanowią konkrety, stanowi świetna znajomość terenu, jego dobrych i złych stron. Zastanawiamy się, czy pióro wielu z nas — „zawodowo piszących” — nie strzela zbyt często samym teoretyzowaniem, abstrakcyjną logiką oderwaną od terenowej praktyki? Taka strzelanina może narobić dużo huków, pożytku wiele nie przyniesie.

Praktyka pracy rad narodowych to praktyka codziennego życia. A życie na codzień to ma do siebie, że nie znosi zastępowania konkretną teorią. Gdy w sklepie Geesu brak lemmieszy — najpiękniejsza lemmieszowa teoria konkretnych lemmieszy nie zastąpi.

SPRAWY KULTURY

Na zjeździe korespondentów „Gromady” znalazła się między innymi najprawdziwsza czarownica. Stanisława Tabinowska z Piszko-

wie została obwołana przez opinię (nie tyle ogółu, co kumoszek) czarownicą od chwili, kiedy okazało się, że krowy jej dają mleko o zawartości 4,5 proc. tłuszczu. To było coś, co nie mieściło się w głowach. I odtąd zaczęły się dziać we wsi dziwne rzeczy. W domu Baranowskich, naprzeciw którego Tabinowska pasła swoje krowy, wydarzyły się różne nieszczęścia. Kury

pozdychały, krowę wzdęło, gospodyni skaleczyła się w palec, a maż jej rozpił się do reszty. Wiadomo, Tabinowska czaruje i krowy, i ludzi — poszła po wsi opinia. Toteż kiedy zlewniarka z punktu przyjmowania mleka przywitała się kiedyś z Tabinowską podając jej rękę, krzyknęła przeraźliwie na wieś całą. Po ręce zlewniarki jakby prąd elektryczny przeszedł. Od tego czasu przestała przyjmować zaczarowane mleko.

— Zaś o tym, że ja moją krowę

według książek regularnie co ośmiem godzin karmię, że ja umiejętnie pielęgnuję i doje, wszyscy zapomnieli — skarżyła się Tabinowska.

Korespondenci śmiali się serdecznie, kiedy Tabinowska opowiadała swoje perypetie. Ja się nie śmiałem. W czasie przerwy podszedłem do Tabinowskiej, zapytałem: — Jest u was we wsi czy gdzieś w okolicy świetlica, biblioteka?

DOKOŃCZENIE NA STR. 2



ALEKSANDER KOBZDEJ

Pejzaż podhalański

„Przegląd Kulturalny” w grudniu br. rozpocznie druk cyklu rysunków Aleksandra Kobzdeja z podróży po południowej Polsce oraz notatek Tadeusza Rózewicza.

KARTKI INDOCHINEŃSKIE

MIROSLAW ŻULAWSKI

Od Pekinu do Han-Kou marzliśmy i każdy wciągał na siebie coś. Od Han-Kou zaczęliśmy się pocić i ściagać z siebie wszystko. Jest nas ośmioro i tworzymy małą wieżę Babel. A więc: korespondent „Prawdy” Kozin i korespondent „Komsomolskiej Prawdy” Strielnikow, obaj chłopcy wielkie o otwartych twarzach wielkorusów. Dalej Australczyk Burchett, stary wyjadacz, wyposażony we wszystko, co może być potrzebne, osiwił w reporterskich bojach. Austriak Jensen mówiący biegle po chińsku, autor książki „China Siegt”. Włoch Kalamandrei, korespondent „Unity”, wysoki na dwa metry, czarny i nosaty. Jego żona Teresa, korespondentka pism kobiecych, białoskóra brunetka wiecznie zmartwiona tym, że tyje. Korespondent CTK Czech Beba, młody blondasek, któremu się języki w głowie pomieszały: mieszają słowa angielskie, francuskie, niemieckie, rosyjskie i czeskie

a nawet chińskie. Oprócz Strielnikowa i mnie wszyscy pozostali są stałymi mieszkańcami Pekinu jako akredytowani tam korespondenci.

Są z nami dwaj towarzysze wietnamscy, którzy opiekują się nami jak najlepsze pielęgniarki. To Tran Trong Quat wracający z Pekinu do kraju po wieloletniej nieobecności i Vo Kij Huan, inżynier metalurg, który wraca z Lipska, gdzie jeździł na Targi Lipskie. Huan śpieszy się bardzo, pozostawił w dżungli pierwsze wielkie piece do wytopu stali, które montował pod bombami. Z Pekinu wyjeżdżamy trzeciego października o dziesiątej trzydziestej wieczorem. Mamy przedział sypialny, po czterech na przedział. Przed nami pięć dni i tyleż nocy podróży do granicy Wietnamu.

Przepisuję bez żadnego retuszu notatki robione w podróży:

4 PAŹDZIERNIKA RANO. Zimno. Zatuju, że nie wziąłem flane-

lowych spodni, lecz zostawiłem je za poradą naszych znawców klimatu w Pekinie. Marzną w swoich tropikalnych portkach, wreszcie decyduję się wciągnąć ciepłą bieliznę, którą zabrałem na wszelki wypadek. O ósmej śniadanie w wagonie restauracyjnym: smażone jaja, chleb, mleko. Podglądam jadących Chińczyków. Jest wśród nich wielu żołnierzy i robotników. Notuję w pamięci, że chińska przysłowia garsć ryżu zmienia się na sporą michę. Nigdy nie przypuszczałem, że można zjeść na raz tyle ryżu i to gęsto zaprawionego wieprzowiną, drobiem lub rybą. Przy śniadaniu przyjmujemy drogą głosowania nie bez propagandy wstępnej zasadę trzymania się chińskiej kuchni oraz używania do jedzenia wyłącznie pałeczek.

Aby przejść z wagonu restauracyjnego do naszego trzeba przedostać się przez wagon dla matek z dziećmi. Jest to za każdym razem wzruszające przeżycie. Chińskie wagony dla matek są znakomicie urządzone. Pełno w nich małych, drewnianych lub sznurkowych łóżeczek dziecińczych stojących na podłodze lub wiszących nad siedzeniami. W łóżeczkach śpią lub bawią się dzieci, po jednym, po dwoje lub troje. Wagon ciągnie za sobą smugę świergotu, jak wielki ptaszniak. Nie chcę, by mnie posądzano o złośliwość wobec polskich matek, ale moje pierwsze wrażenie jest, że dzieci chińskie są o wiele lepiej wychowane niż nasze. Cóżby to za ryk panował w podobnym wagonie u nas. Tu nie podobnego. Dzieci bawią się, śpią lub cichutko siedzą uczepione biodra matki jak grzyb trzyna się drzewa.

Niebo ciągle zachmurzone i zimne. Kraj płaski jak u nas, na Mazowszu. Tylko że od czasu do czasu wystrelili gdzieś na równinie podkaszany dach Pagody ze smokami na szczycie, a na polach widać nie ścierniska, lecz podmokłe polet-

ka ryżu, bawełnę kwitnącą właśnie białawo, i jakieś różowe krzewy strzelające wśród pól jak płomienie. Wszędzie na polach sylwetki chłopów w czarnych sukmanach o głowach obwiązanych białymi chustkami.

W wagonie nalewają nam co chwila zielonej herbaty, sprzątają i wynoszą popielniczki.

ŚRODA, 6 PAŹDZIERNIKA, za Czang szan w prowincji Hunan.

Chłodno, deszczowo. Wczorajszy dzień był pełen dziwnych wrażeń. Zatrzymaliśmy się na dwanaście godzin w Han Kuo w oczekiwaniu na pociąg do Nanningu. Umieszczono nas w ogromnym hotelu w dawnej koncesji francuskiej. Miasto bardzo żywe, jak najbardziej odpowiadające naszym pojęciom o chińskim mieście. Robiliśmy drobne zakupy. Kupiłem moskitierę. Zwiedziliśmy śliczny, bardzo chiński park im. Sun Jat Sena. Han Kuo jest właściwie częścią olbrzymiego trójkąta rozdzielonego rzekami Jang Tse Kiangiem i Han. Za Jang Tse Kiangiem leży Wu Czang, a za Han Han — Jang.

Daremnie szukamy w mieście widokówek. Za to ulice są wprost zólte od ogromnych nareczy bananów. W kilku sklepach futrzarskich widziałem śliczne skóry lamparcie. Riksze są tu dwuosobowe. Tłumaczmy to sobie rozmaicie, wreszcie zgadzamy się na hipotezę, że na południu bardziej niż w Pekinie riksze należały do wielkich przedsiębiorstw kapitalistycznych i że podwójna riksza oznacza zwiększony stopień wyzysku pracy riksarzarsze strony przedsiębiorcy.

Po południu zwiedzamy prace przeciwpowodziowe na Jang Tse Kiang. Zdumiewa mnie ich ogrom i sposób przeprowadzenia. Poza pompami dieslowskimi i elektrycznymi nie widziałem ani jednej maszyny. Wszystko robi się rękami. DOKOŃCZENIE NA STR. 2



Mirosław Żulawski w Wietnamie.

P O M Ó W M Y o M U Z Y C E

STEFAN
JAROCIŃSKI

PARĘ WSTĘPNYCH UWAG

Jeszcze w roku 1948 pisał Z. Liśsa w „Nowych Drogach”: „Idzie o zainteresowanie kompozytorów i związanie ich z nową rzeczywistością”. W świetle zdarzeń, jakie nastąpiły potem i których byliśmy świadkami, może się ta wypowiedź wydać jakimś wąskim minimalizmem. Ale to właśnie dowodzi, jaki skok został dokonany w ciągu sześciu lat w świadomości naszych kompozytorów. To, co było wówczas tylko pobożnym życzeniem, stało się tak oczywiste, że dziś nikomu z kompozytorów nie przyszłoby do głowy marzyć o tworzeniu sobie a muzom, w izolacji od potrzeb własnego społeczeństwa. Zjazd Kompozytorów Polskich w Łagowie w r. 1949 był z pewnością ważnym momentem w ewolucji, jaką przeszła muzyka polska w okresie dziesięciolecia. Jednakże rozpoczynał on tylko pewien etap, a więc tylko fragment tej walki o nowy światopogląd, którą prowadzili kompozytorzy polscy nie tyle nawet między sobą, co w sobie samych.

Czy możemy powiedzieć, że proces przekształcania świadomości naszych kompozytorów przez obiektywne warunki naszego życia został ukończony? — Oczywiście nie. Możemy natomiast zapytać o co innego, a mianowicie czy przebiegał on w sposób naturalny, czy nie uległ żadnym zahamowaniom lub spaceniom, czy te czynniki świadomego działania — jak nasza polityka kulturalna i nasza krytyka — które powołane były do tego, żeby przyspieszyć okres dojrzewania ideowego środowisk twórczych, spełniały zawsze swe zadania w sposób właściwy. Otóż na te pytania udzielili nam odpowiedzi po części sami twórcy na XI Sesji Rady Kultury i Sztuki, po części liczne dyskusje, jakie Sesja ta wzniesła w szerokich kołach artystycznych.

Dla każdego, kto spojrzy na przebieg naszej walki o realizm socjalistyczny w sztuce z perspektywy lat a nie miesięcy, jest rzeczą jasną, że punktem zwrotnym w podchodzeniu przez nas do wielu zjawisk zachodzących w sztuce była nie XI Rada Kultury i Sztuki, lecz XIX Zjazd KPZR i II Zjazd naszej partii. Od tego to czasu datuje się właściwie ów wielki, o przełomowym znaczeniu proces przewartościowywania w wielu dziedzinach życia bynajmniej nie podstaw naszego myślenia — jak to sądził niektórzy ku uciesze naszych wrogów — lecz jedynie metod naszego działania. Analiza przyczyn obiektywnych, które umożliwiły nam dokonanie tej rewolucji dotychczasowych metod, ani nie leży w moich kompetencjach, ani nie jest celem tego artykułu.

Myśl jego napisania zrodziła się z niepokoju, jakiego doznaje człowiek zawsze wtedy, gdy napotyka na zjawisko niedoceniania ważności pewnych przełomowych momentów u tych, z którymi współżyje. Z niepokoju, iż cała problematyka, jaka wyrosła ze wspomnianych tu już zwrotnych momentów naszego życia kulturalnego, nie znalazła chyba jeszcze należytego echa w twórczym środowisku muzycznym, skoro nie została przez nie dotąd przedyskutowana i pogłębiona.

O BŁĘDACH DUŻYCH I MAŁYCH

Kiedy po roku 1930, po okresie rozwydrzonego empiryzmu, ujawniły się tu i ówdzie w muzyce europejskiej pewne tendencje humanistyczne, niektórzy kompozytorzy rozumiejąc, iż robienie nadal cnoty z postawy splendid isolation wobec swych społeczeństw staje się i niegodne z nową estetyką, i niemodne, zaczęli wychodzić w takiej czy innej formie szerzej publiczności mieszczańskiej (klasie panującej) naprzeciw.

Postulat „wyjścia naprzeciw” nowemu odbiorcy w warunkach Polski Ludowej wysuwany w pierwszych latach dziesięciolecia nie był zatem kompozytorem polskim obcy, ani też ich nie zaskoczył. Sprawa się jednak o tyle komplikowała, że w istocie nie chodziło wcale o to, żeby kompozytorzy po mieszczańsku „wychodzili naprzeciw”, ale o to, żeby się przylączali do naszej walki o socjalizm, żeby się z nią czynnie związali. I tu powstało pierwsze nieporozumienie — w tym wypadku zawinione przez naszą krytykę. Doprowadziło ono do błędnej teorii dwóch nurtów twórczości: jednego — nazywamy go po imieniu — dla „maluczkich i ubogich duchem”, drugiego — dla elity muzyków i melomanów. Teorię tę lansowali nie tylko krytycy ideowo nam obcy, ale i ci, których ogólna postępową postawą nie podlegała dla nas żadnej wątpliwości.

Oczywiście kompozytorzy przyjęli tę teorię chętnie, ponieważ pozwalała im ona sprostać koniecznym zamówieniom społecznym bez większego zaangażowania, a zatem i bez większego wysiłku. Domagało się przecież od nich w gruncie rzeczy tylko uczciwej kompozytorskiej roboty w sensie rzemiosła, i od tego bynajmniej się oni nie u-

chylali. Nastąpił okres masowego pisania masowych pieśni.

Gdy wcielanie w życie wspomnianej tu teorii więcej zaczęło przynosić szkód niż pożytków, bo tony papieru nutowego zapisanego pieśniami rosły, a nikt ich nie śpiewał, zwrócono się po remedium do muzyki ludowej. Zorganizowano festiwal muzyki ludowej, pokazano kompozytorom olbrzymie źródło inspiracji dla ich sztuki i trzeba powiedzieć, że tym razem „haczyk chwycił” o tyle, że muzyka polska obrodziła paroma dziełami pierwszorzędnej jakości. Nieszczęście zaczęło się dopiero wtedy, gdy niektóre umysły opanowała myśl, że folklor jako źródło inspiracji to jedyna droga do zbawienia naszej twórczości muzycznej. I ten błąd, mimo że dłuższy niż inne w wielu z nas pokutujący, nie ostał się wymowie faktów historycznych i współczesnych, które nie zawsze chciały potwierdzać ukutą przez nas na gorąco teorię stylu narodowego.

Tymczasem zanim jeszcze korzenie naszej pewności co do folkloru jako środka wiodącego do stworzenia nowego stylu podcinać zaczął sceptycyzm, już pojawił się na horyzoncie naszej polityki muzycznej nowy konik: kantaty i muzyka programowa, i w związku z tym nowe żądania pod adresem kompozytorów: pieśni masowe wam nie wychodzą, naród ich nie śpiewa, piszcie kantaty i muzykę programową, te formy muzyki poważnej są zapewne wam bliższe, a przy tym jako bardziej od innych przystępne mogą znaleźć szerszego słuchacza.

W ten oto sposób stosowało się do niedawna jeszcze pochodzącą do zagadnień twórczości muzycznej system akcji: akcji pieśni masowej, akcji folkloru, akcji kantat i muzyki programowej. Nie można w żadnym razie powiedzieć, że tym, którzy te akcje inicjowali i nimi kierowali, nie przyszłoby jak najlepsze intencje. Nie można też powiedzieć, że one nie przyniosły żadnych rezultatów. Byłoby to świadome mijanie się z prawdą. Ale trzeba przyznać, że ten system akcji, który w praktyce administracyjnej przekształcał się często — jak to już podkreślano wielokrotnie — w komenderowanie twórczością, nie mógł doprowadzić do wyników, o które nam wszystkim chodziło już choćby dlatego, że twórczość nie jest przemysłem, któremu wyznaczamy normy produkcyjne i mamy realne podstawy do tego, aby spodziewać się, że nasze plany zostaną w pełni urzeczywistnione. „Gdyby mogło zaistnieć biuro twórczych emocji artystycznych” — pisał żartobliwie w r. 1948 Z. Muciński — „nieilibyśmy na zawołanie arcydzieła”. Jest rzeczą zrozumiałą, że nam do tych arcydzieł było pilno. Ale nie mieliśmy i nie mamy wielkiego wpływu na to, żeby proces ich powstawania przyspieszył.

O co nam chodziło? — O to, żeby polscy artyści tworzyli sztukę zdolną nas wzruszać i ożywiać, sztukę inspirującą nasze działania i myśli. Zapominaliśmy tylko o tym, że „jak” oni to robią, musimy im samym pozostawić, ponieważ na nic tu się nie zdadzą żadne nasze recepty. Mieliśmy i mamy prawo żądać od artysty, żeby nam pomagał w walce o socjalizm. Ale gdy podsuwaliśmy mu przed oczyma nie tylko tematykę, którą wien był — naszym zdaniem — uwzględnić w swych dziełach, ale i środki, w jakich się powinien był wypowiadać, to oczywiście przekraczaliśmy nasze uprawnienia, a nadto odbieraliśmy mu swobodę wyboru i radość tworzenia.

Co powinno było być naszą troską największą? — To, żeby „talent jego był uświadomiony na prawdę życiową” (Dobrolubow).

Chodzi nam z pewnością bardziej o prawdę niż o piękno. Ale bo też wiemy z licznych przykładów historii, że ci, którzy najzwyczajniej odczuwali życie sobie współczesne, tworzyli najprawdziwsze piękno. Monteverdi, Gluck, Mozart, Beethoven i Verdi walczyli o prawdę w muzyce i z ich rąk powstawało piękno. Ich przeciwnicy troszczyli się przede wszystkim o piękno, i w rezultacie tworzyli dzieła banalne.

Napierając ponad wszystko ideowość, baliśmy się równocześnie jak ognia nowatorstwa formalnego, tak jakby treść wolno nam było oddzielać od formy i w rezultacie dopuściliśmy do rozpanoszenia się eklektyzmu w muzyce. Jakby niedość jeszcze było eklektyków modernistycznych, przywróciliśmy do łask eklektyków akademickich, tradycjonalistycznych.

Milecząca zachęta znajdowała w naszych oczach ci, którzy zwracali się do języka muzycznego sprzed 60 i więcej laty jakbyśmy żyliłi niedawno, że to ułatwi muzyce współczesnej nawiązanie kontaktu z jej zapóźnionym odbiorcą. Jakimże złudzeniem podlegała! Te nasze czasy i nasza walka można przekazać słuchaczowi językiem Beethovena i Czajkowskiego. To zupełnie tak jakbyśmy byli przekonani, że gdyby oni dziś żyli, pisaliby muzykę taką jak wtedy. Zamiast domagać się od naszych twórców, aby brali za przykład postawę i inwencję Beethove-

na czy Liszta, myśleliśmy, że do uzyskania ich szlif wystarczy twórcom dzisiejszym zaadaptować środki tamtych. Zapominaliśmy, że wszelki eklektyzm jest wyrazem rezygnacji z wszelkiego nowatorstwa.

Tymczasem nam nie wolno było bać się nowatorstwa, jeśli tylko nie było ono oparte na ideologii nam wrogiej. Na to jednak trzeba było dać jakiś kredyt moralny artystcy. Można się bowiem było spodziewać, że on czując wciąż na sobie obrodziły paroma dziełami pierwszorzędnej jakości. Nieszczęście nie mu charakteru, będzie tworzył to, co trafi do przekonania naszej administracji.

Musimy pamiętać, że odnośnie sztuki istnieje w każdym z nas wiele przesądów wynikających z naszych nawyków i przyzwyczajeń, i że artysta, który chce znaleźć nowy kształt, najlepiej odpowiadający wyrażeniu nowych treści, może się znaleźć w konflikcie z naszym wrodzonym konserwatyzmem w rzeczach sztuki.

Twórca ma dość kłopotów z samym sobą, żeby go jeszcze dodatkowo obciążać wymaganiami i zaleceniami co do rodzaju i formy muzyki, jakie winien uprawiać. Niechaj miast oglądać się za tym, czy ten lub inny środek użyty przez niego nie narazi go na biurokratyczne szykany, przyjmie za dewizę to, co lubił często powtarzać Debussy: „W sztuce walczysz się najczęściej z sobą samym i zwycięstwa, które się w tej walce odnosi, są z pewnością najpiękniejszymi”.

KU PRZESTRODZE NAJMŁODSZYCH KOMPOZYTORÓW

A o tej dewizie zdaje się zapominać nasz wstępujący w światnarybek kompozytorski. Zbyt wiele skarg daje się słyszeć zewsząd na tych młodych ludzi, którzy już u progu swej kariery kompozytorskiej przestają dbać o podniesienie swego poziomu ideowo - moralnego, a zatem i artystycznego. Wystarczy posłuchać z tąm ich utworów i przejrzeć partytury, które nadsyłają przy różnych okazjach do różnych instytucji. Czyż trzeba im powtarzać tę prostą prawdę, że aby być kompozytorem z prawdziwego zdarzenia nie wystarczy nauczyć się z grubszą zasad harmonii i kontrapunktu, że trzeba stałe nad sobą pracować, stałe w sobie coś przyswajać i przetrwać, stałe w

sobie coś przezwyciężać i piąć się w górę samemu, bo w tym wzrośnięciu własnej jakiegokolwiek osobowości niewiele może pomóc najlepszy choćby pedagog. „Żeby być kompozytorem — mówił niedługo Grętry — trzeba nauki i talentu. Ten, który posiadał tylko naukę — posiadał tylko połowę wszystkiego; ten, który ma tylko talent, ma wszystko to, z czego nie można nic zrobić; ten, który nie ma ani talentu, ani nauki, jest po prostu nędznym kompozytorem; ten, który ma tyleż talentu co wiedzy na jego usługi — ten jest najlepszym ze wszystkich; i wreszcie — im mniej ma kompozytor talentu, tym usilniej stara się nabyć wiedzy, ażeby być kimś”.

„I PRETENSJE DO STARSZYCH

Za dużo było w tym dziesięcioleciu oglądania się naszych twórców za tym, co ujdzie, a co nie, za tym, czy coś nie zostanie aby potępione, tak jakby tu chodziło o ambicje ich skóry, a nie o ambicje ich sztuki. I stąd tyle miernych dzieł, nie wykraczających poza przeciętność.

Kompozytorzy lubią się chlubić wysokim poziomem muzyki symfonicznej, ale mówiąc tak, myślą głównie o poziomie rzemiosła, który jest w porównaniu z okresem międzywojennym niewątpliwie wyższy. Ale czy o taki tylko poziom chodzi? Zresztą zapominają, że ten poziom rzemiosła wszędzie się podnosi i że nie ma się tu czym tak bardzo chwalić przed obcymi, bo pod tym względem wcale im nie zaimponujemy, mogą być tego pewni.

Trzeba oddać sprawiedliwość naszej nielicznej czołowej kompozytorskiej, że wysłała ona z perypetii „administracji twórczości” na ogół obronną ręką. Nie uciekając się do większych kompromisów z własnym sumieniem artystycznym umiała przecież ustrzec swą sztukę od tendencji „równania w dół”, która tak niekorzystnie odbiła się na muzyce innych krajów Demokracji Ludowej.

W kłopot natomiast wprowadziłoby nas pytanie, czy mamy jakieś prawdziwie nowatorskie dzieła? Gdyby nam przyszło porachować, nie wiemy, czy byśmy się paru dociliży. Reszta to mniej lub więcej zręczny eklektyzm, ale nie nowatorstwo. Arseniał środków używanych w naszej muzyce nie wzbogaca się. Stoiśmy pod tym względem w miejscu, i co gorsza — kompozytorzy nie

zdradzają większego zainteresowania tym, co się na szerszym świecie dzieje. Oczywiście istnieje wiele trudności obiektywnych. Ale czy ktoś bje się o to, żeby je usunąć? Jeśli kompozytorzy już dziś znajdując podstawy do samouwielbienia, to trzeba ich przestrzec, że rychło, nie wiedząc sami kiedy, obniżą swe ambicje twórcze. Trzeba chyba zaprzestać zabawy w autoreklame, zaprzestać wyszukiwania kadzicieli, jeśli się nie chcą oni i my zagubić w tym całym imbroglu fałszywych kryteriów.

REFLEKSY NAJBARDZIEJ GORZKIE

Bieliński pisał kiedyś: „Dopóki nie uformowała się jeszcze sztuka nie może być gotowa krytyka”. Czy można powiedzieć, że nasza muzyka się już uformowała? Czy można, poza paroma wyjątkami, powiedzieć, do czego dążą nasi kompozytorzy? Czy można z analizy ich dzieł wywnioskować, jakie są ich cele? Czy można o wielu z nich powiedzieć, tak jak o Lutosławskim, że mają przed sobą jasno wytykniętą drogę i dążą nią wytrwale? Doprawdy nie wiem, jakie cele ideowo - artystyczne poza doraźnymi polegającymi na komponowaniu taut chęci, przyswiewając znacznej większości naszych kompozytorów? To wcale nie muszą być cele świadome. Zdarza się przecież, że intuicja jest twórcy podsuwa. Ale tak czy inaczej jeśli są, krytyk może i powinien je wykryć w samej muzyce. Jeśli krytycy dotąd nie umieli ich wykryć w olbrzymiej większości dzieł powstałych w dziesięcioleciu, to czy to dowód tylko słabości naszej krytyki, czy może i również słabości naszej muzyki. Bo jeśli muzyki, to słabości naszej krytyki staje się przynajmniej częściowo wytłumaczona.

Nie zamierzam bynajmniej bronić krytyki. Niewątpliwą oznaką upadku naszej krytyki muzycznej jest cechujący ją brak jakiegokolwiek bojowości. Zwracam tylko uwagę, że i w tym wypadku „administratorskie” nie jest bez winy. Bo czy można się dziwić, że krytyk staje się ostrożniejszy w formułowaniu swej opinii o dziele, skoro się przekonywuje, że jego negatywna ocena (słuszna czy nie — pomylił się przecież rzeczą ludzką) służy podobnym biurokratom za podstawę do łamania danemu dziełu jego dalszej kariery repertuarowej.

Ktoś, kto zada sobie trud zbadań i określenia różnych muzyk powstałych w dziesięcioleciu, a

także różnych stanowisk zajmowanych przez naszych krytyków w tym okresie, będzie musiał wziąć sobie bardzo do serca i dobrze zapamiętać to sławne zalecenie Arystotelesa: „Przy ocenie tego czy ktoś coś powiedział, lub uczynił dobre czy niedobre, trzeba patrzeć nie tylko na czyn i mowę, czy są dobre czy złe, ale także na tego, kto czynił lub mówi, i zbadać ze względu na kogo, albo kiedy, albo komu, albo dlaczego uczynił coś lub powiedział, np. czy dla uchronienia się przed większym złem”.

Przed stu laty Baudelaire upatrywał rację bytu krytyki w jej stronnictwie, namienności i polityczności. My dziś ze wstydem musimy przyznać, że nasze artykuły i recenzje nie posiadają przeważnie żadnego z tych atrybutów prawdziwej krytyki. Uprawiamy krytykę stojącą się w piórka bezstronności i rzekomego obiektywizmu. Jeśli nawet zdobywamy się niekiedy w naszych artykułach na jakieś akcenty krytyczne to tak starannie je natychmiast ukrywamy, tyloma ukłoniem: je okupujemy, jakbyśmy popełnili co najmniej towarzyski nieakt, który trzeba czym prędzej zatuszować. Doszliśmy do tego, że lubujemy się w panegirykach i celujemy w reklamiarstwo. Gdyby na forum muzycznym istniały jakieś bezsporne autorytety, z jakąś ulgą chwalibyśmy każde śmielsze zdanie za osad uznanej wielkości. Zatruciliśmy zupełnie zdolność do ryzyka omylności, zapominając o tym, że nadmierna rozważa i wstrzemięźliwość nigdy nie uchodziły za cnoty. Dziś nikt z nas nie może się nawet oburzyć, jeśli kompozytorzy zechcą nas przetrwać, za przykładem Gauthiera, do walców, siebie zaś do ogierów, bo rzeczywiście, jeśli jeszcze nie staliśmy się walcami to obawiam się, że niewiele nam już do tego brakuje. Do jakich nimz sprowadzi nas, krytyków, przyróżony nam kompleks niższości wobec twórców nas dziś na nie więcej, jak tylko na hagiografie. O. Wilde zapewniał kiedyś, że krytyka wymaga wyższej kultury niż twórczość i możemy mu wierzyć lub nie, ale że miał rację, gdy pisał, że „epoka nie posiadająca krytyki — to epoka sztuki martwej, skazanej na reprodukcję typów już ustalonych”, to chyba niewątpliwe. Przekonywujemy się o tym niemal co dzień. Wy, kompozytorzy, i przekonywujemy się o tym my — krytycy

POCHWAŁA KONKRETU

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

— Jest, ale z niej tylko tyle pożytku, że tam gospodnie bieliznę po praniu suszą — machnęła pogardliwie ręką Tabinowska.

Podczas przerw rozmawiałem z wieloma korespondentami, w tym z kilkoma kandydatami na radnych. Przypadek (tak się to mówi „przypadek” — w istocie sądzę, że przypadek ten reprezentuje społeczne prawo) zdarzył, że kandydaci ci byli terenowymi działaczami kulturalnymi.

Na przykład taki Józef Balcaszkowa z Orliczka, dzięki której nastąpił punkt zwrotny w dziejach... świata. „Jak świat światem nie było o Orliczku w gazecie, a ta cholera wszystkich nas w gazetach opaskudzi” — mówili gospodarze we wsi, kiedy Balcaszkowa publikowała czasła pierwsze korespondencje. („Sama mówi o tym: jak artykuł surne...”.) Szurnęła między innymi do stolicy wiadomość, że już

po ogłoszonej z wielką pompą całkowitej likwidacji analfabetyzmu, pozostało w Orliczku szesnaście analfabetów. Po kilku tygodniach zorganizowano dla nich kursy. W jakiś czas potem wytknęła znów, że we wsi nie ma świetlicy, tylko knajpa, w której się młodzież rozpija. Długi czas czekała na zmiany. Niestety, sama korespondencja z Warszawą żadnych zmian nie przyniosła. Zwróciła się więc do gminy. Tu też nie spotkała pomocy. Na koniec „zdeeneruowana” — jak mówi — „do szczętu” sama zorganizowała świetlicę wyremontowaną z własnego materiału budowlanego, pracą synów, rozwalony dom na rozdrożu. Wyprosiła też w powiecie książki. Oddanie świetlicy do użytku odbyło się pierwszego maja. Wkrótce potem Balcaszkowa otrzymała nielogiiczny anonim: „Ty świntko, parobku komunistyczny, zabijemy cię jak psa!” Balcaszkowa mówi mi o tym: „To dziwne, jak świetlice nie było, żadnych anonimów nie dostawałam, to ich widać dopiero zabolalo”.

— A nie boicie się? — pytam.

— Jakże miałabym się bać? W

trzydziestym siódmym roku w strajku chłopskim czerwony sztandar niosłam.

— Nasz trzydziesto pięcio osobowy zespół pieśni i tańca oraz zespół teatralny — mówił korespondent Ludwik Maj — występuje w okresie przedwyborczym z własnym programem artystycznym na każdym zebraniu. Stworzyliśmy też ośmio osobową brygadę artystyczną - agitacyjną, której program oparty jest na faktach z życia gromady. Nasz zespół świetlicowy oprowadzał przyśpiewki i gadki opowiadające o naszym dorobku oraz o naszych błędach i brakach. Gromada nasza leży na dalekim odludziu i w terenie trudno dostępnym. Podejmujemy się więc tylko tego, co możemy wykonać w naszych skromnych warunkach.

Tak, to był ten sam „słynny” Maj z Sidziny, o którym tyle opowiadało się w klubach dziennikarzy i literatów po ogólnopolskim „Kongresie Satyry” i dyskusji nad „Szpilkami” w roku ubiegłym. Maj zachwylił wówczas słuchaczy czystością ludowego języka, odsłonił

KARTKI INDOCHINEŚKIE

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Miliony metrów sześciennych piasku przenosi się w niewielkich koszykach zawieszonych u końców długiego kija. Na szerokiej jak okiem sięgnąć rzece dziesiątki dżonek o wielkich żaglach. Długi szereg robotników zstępuje ku rzece niosąc na ramionach worki z piaskiem dla budowy grobli. Wszyscy mają kapтуры chroniące szyć i ramiona przed otarciem o dzwiganie brzemie. W płytkiej wodzie przybrzeżnej rybakowie w słomianych kapeluszach łowią ryby kwadratowymi niewodami, stojąc po udu w rzece. Oglądamy budowę falochronów oraz grobli. Pokazują nam miejsce, w którym rzeka przerwała tamy w 1931 roku, zatapiając 30.000 ludzi. Rząd Kuomintang wysłał wtedy wszystkich 300 ludzi dla załatania wyrwy i zbyt szybko uznał, że załatać jej niepodobna. W roku bieżącym wobec niebezpieczeństwa powodzi, kiedy odkryto pierwszą wyrwę w grobli, zmobilizowano tysiące ludzi. Starzy weterani wojny wyzwolenczej rzucali się w wodę, brali za ramiona i tworzyli groble z żywych ciał, aby przez ten czas towarzysze mogli naprawić szkodę.

O dziewiątej wieczór przeprowadzamy się statkiem przez Jang Tse Kiang do Wu Czang. Ogromna rzeka lśni w oddali tysiącami światłami. Środkiem idzie fala bura i wzburza. Cien dzyści panował niesamowity upał. Dopiero wieczorem na rzece powiało chłodem.

Dziś od rana za oknami przesuwają się palmy, bambusowe lasy, zalane wodą ryżowiska i dziwne chińskie góry stoją na horyzoncie. Chaty kryte słomą z otwartymi na cztery wiatry oknami i drzwiami pobawionymi szyb i futryn. To już południe. Ziemia jest czerwona, góry nagie lub pokryte krzakami. Zadnych lasów. Chmurno.

Jensen gra w szachy z Kozinem. Ja czytam historię Wietnamu. Reszta śpi. Czuję się dobrze, tylko brak mi możliwości umycia się. W wagonie zabrakło wody. Za to dostajemy wyborny chiński obiad. Ryba, kurczak w słodkim sosie, słodkawa kiełbasa.

Burchett, który na każdej stacji twierdzi, że ruch wagonu przeszkadza w odbiorze, przynosi wieczorem wiadomość o wyniku meczu Dynamo — Arsenal. Oblewamy to wypiciem kieliszka chińskiego koniaku. Później obaj Rosjanie polują na muchy, które przyciąga świą-

tko. Opuściliśmy więc siatki w oknach.

7 PAŹDZIERNIKA.

Chmurno i deszczowo. Horyzont wypielniony wapiennymi górami prostopadymi jak słupy. Chalupty zasłonięte bananowcami, ogromne, czyste rzeki. Cale lasy bambusów na zboczach. Wychodzimy z pociągu na stacji Lu Czau. Jensen mówi, że tu leczył cholerę w czasie wojny. Zanim został dziennikarzem był lekarzem. Pejzaż zupełnie fantastyczny. Wokół góry zupełnie pionowe jak baki, które dzieci ustawiają na piasku przy pomocy wiaćder. Ciępio. Chłodne powiewy od gór. Na palmach pamplemussy olbrzymie jak głowa dziecka. Jakaś rodzina chińska nie może dać sobie rady przy wysiadaniu z kupą dzieci. Jensen bierze trzyletniego szkraba na ręce i niesie za rodzicami. Kiedy go stawia na ziemi, szkrab poczyną nieludzką wrzeszczę i Jensen musi go znów nieść.

Wracamy do wagonu i golimy się i myjemy, bo dziś jest woda. Nasza chińska obsługa nosi jej tyle, zimnej i gorącej, że przelewa się z wiader od kołysania wagonu, oblewając nam bez przerwy nogi.

Czech Beba lyka od paru dni paludrnie. Twierdzi, że ma na wszystkie lekarstwa w swej torbie. Poleca nam szczególnie na Wietnam brać

już teraz antytygrinę i antyelephantinę. Twierdzi, że pierwsze lekarstwo pomaga na tygrysy, a drugie na słonie.

Mijamy ciągle wapienne góry o fantastycznych kształtach. W pewnym miejscu widzimy jak bawół z wieśnikiem na grzbiecie przepływa wraz z wozem rzekę. Tracę go z oczu, kiedy już dosięga drugiego brzegu.

Na wszystkich małych stacyjkach, na których pociąg zatrzymuje się, widać ten sam obrazek: gromada Chinczyków stoi na peronie w wzorowym ogonku. To pasażerowie czekający na pociąg, nie ma żadnego szturmu do wagonów, żadnego trawowania kobiet i dzieci. Pociąg już dobrze zajeżdża a wszyscy jeszcze czekają. Dopiero na znak konduktora ogonek powoli rusza i w porządku ludzie wchodzi do wagonów wskazywanych im przez konduktorów.

Po południu zaczyna nam dokuczać szalony upał. Pod wieczór spada ulewny deszcz. Z nudów prosimy o tłumaczenie wszystkiego, co nadają przez głośnik. W chińskich pociągach udziela się informacji o nazwie stacji, do której pociąg się zbliża, o czasie postoju, przesiadkach, ale także o historii i osobliwościach mijanych okolic. d. c. n.

MIROSLAW ŻULAWSKI

Sprowadzić na ziemię dyskusję o malarstwie

ALFRED LIGOCKI

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

IV Ogólnopolska Wystawa Plastyki stała się odcinkiem dożywionej dyskusji na temat naszego malarstwa, jego dotychczasowego rozwoju i perspektyw przyszłości. Uderza w tej dyskusji jedynomyślność w pozytywnej ocenie wystawy i w stawianiu na jej podstawie optymistycznych prognozyków co do dalszych losów walki naszego malarstwa o realizm socjalistyczny. Te pochwały i ten optymizm są w zasadzie słuszne, ale tylko w ściśle określonych granicach. Gdyby ktoś na ich podstawie spodziewał się doznać na Wystawie szczególnie bogatych i silnych przeżyć, prawdopodobnie poważnie by się rozczarował, bo te pochwały wcale nie dowodzą, że poziom Wystawy w sposób zasadniczy odbiegał od poziomu jej ogólnopolskich poprzedników. Malarstwo nasze znalazło się tu raczej w sytuacji urwisa, który poszedł na wagary i nie wrócił do domu o właściwej porze. Gdyby się spóźnił o pół godziny dostałby łanie, a że spóźnił się o kilka godzin — dostał czekoladkę, bo za niepokojeni rodzice ucieszyli się, że w ogóle wrócił cały i zdrowy.

Kiedy po smutnej pamięci warszawskich wystawach jesiennych z ubiegłego roku, które zdawały się wrócić naszemu malarstwu nieuchronny upadek, pojawiły się obecne świetne pejzaże Studnickiego, monumentalna „Nasza ziemia” Strumiły, a zwłaszcza rewelacyjna niespodzianka: „Martwa natura z koszykiem” Celnikiera — trudno się dziwić krytyce, że wpadła w stan euforii i spojrzęła na wystawę przez różowe okulary. Ale nie tylko to spowodowało ów optymizm. Ma on swoje głębsze uzasadnienie, o czym jednak nieco później.

Przyznać trzeba, że od czasu sławnego pojedynku Dobrowolskiego z Przybosiem z roku 1946 nie mieliśmy dyskusji o malarstwie tak intelektualnie bogatej i wartościowej jak obecna. W okresie ostatnich pięciu lat walki o realizm socjalistyczny bardzo niewiele znaleźlibyśmy analiz poszczególnych obrazów, które dorównywałyby analizom Czeszki, czy Celnikiera. Pod postulatami większości dyskutantów można, według zabawnego określenia dziennikarskiego — podpisać się obiema rękami, ale wszystkie te zalety nie przesłaniają faktu, że ogólny nurt dyskusji płynie fałszywym korytem.

Z wyjątkiem artykułów Tomasza Gleba (nr. 27 P.K.) i Marii Zenowicz (nr. 43 P.K.) a po części Celnikiera (nr. 40 P.K.) głosy dyskusji przypominają wpisy w księdze życzeń i zażeń gospody ludowej. Mówią, na ogół trafnie, co jest złe, co być powinno, czasem dołączają jakąś radę i na tym koniec. Tymczasem nie o to chodzi.

Pierwszą czynnością powinna być trzeźwa ocena obecnej sytuacji malarstwa, a szczególnie zrobienie możliwie ścisłego bilansu zysków i strat w tym historycznym przedsięwzięciu, które nazywa się walką o realizm socjalistyczny. Ocena ta jest niemożliwa jeśli się nie określi dokładnie genezy realizmu socjalistycznego w naszym malarstwie i stosunku malarzy do odbiorców ich dzieł.

Gdyby ktoś, śledząc dyskusję na temat realizmu socjalistycznego w malarstwie od samego jej początku, chciał się z niej dowiedzieć, skąd się ten realizm właściwie wziął — musiałby dojść do wniosku, że około roku 1949 nastąpił w naszej plastyce jakiś cud, artyści, którzy dotąd mówili różnymi językami, nagle zaczęli przemawiać jednym: językiem realizmu socjalistycznego.

Partia i Państwo wysunęły założenia realizmu socjalistycznego jako postulat nowej warstwy odbiorców sztuki — a mianowicie mas pracujących miast i wsi.

Bez uświadamienia sobie tej genezy nie pojmamy szeregu istotnych zjawisk występujących w pierwszym pięcioleciu walki o realizm socjalistyczny, a treść całej dyskusji na XI Sesji Rady Kultury i Sztuki nabierze znowu cech mitologicznych. Z jednej strony demoniczni przedstawiciele Ministerstwa komenderujący sztuką, narzucający recepty twórcze itp., z drugiej uciśnieni artyści, a na dobiegł wszystkich zarówno demony jak uciśnione ofiary pełne jak najlepszych chęci. Opisywana wyżej geneza realizmu socjalistycznego w sztuce, a zwłaszcza w malarstwie, była zjawiskiem koniecznym i zjawiskiem w ówczesnych warunkach, kiedy to malarze wśród gitar, arlekinów i półmisków z jabłkami, śnili wyrefinowaną grę barw linii i kształtów. To „narzucanie” artystom realizmu socjalistycznego wyprowadziło ich ze ślepej uliczki formalizmu i stworzyło możliwość odzyskania utraconego kontaktu ze społeczeństwem i czynnego włączenia się w proces budowy socjalizmu. Było słuszne zastosowanie jednej z podstawowych zasad socjalizmu: zastąpienia żywiołowości świadomym,

planowym działaniem. Ale metoda ta oprócz ogromnych zalet miała swoje niebezpieczeństwo.

Niebezpieczeństwo to u inicjatorów polegało na braku zaufania do artystów. Postawa nieufności jest tu subiektywnie w pewnym sensie usprawiedliwiona, obiektywnie jednak niezwykle szkodliwa. Niestety tego niebezpieczeństwa nasi działacze kulturalni nie opanowali. Stąd komenderowanie sztuki, tworzenie recept tematycznie-warsztatowych i cały szereg innych grzechów. Wynikiem tych grzechów — było powstanie u artystów niebezpiecznego przeświadczenia, że realizm socjalistyczny wyklucza swobodę twórczych poszukiwań.

Stąd realizm socjalistyczny w malarstwie „wszedł w życie” bez poważniejszego starcia poglądów. Okopy formalizmu zostały zdobyte bez wytrzału, co wcale nie było sukcesem, nieprzyjacieli bowiem, którzy pozornie wywiesili białe sztandary, w rzeczywistości zstąpił do podziemia.

A jaką rolę w tym wszystkim odegrała krytyka artystyczna? Niestety niezbyt chwalebna. Trzeba sobie wreszcie jasno powiedzieć, że drogi do realizmu socjalistycznego wytyczyli aktywiści partyjni i urzędnicy administracji państwowej, a krytyka najczęściej zachowywała się na sposób dyskutantów z niektórych dialogów Platona, którzy ograniczali się do przerywania wywodów Sokratesa uwagami w rodzaju „Zaiste prawdę rzekłes Sokratesie”.

Geneza realizmu socjalistycznego w plastyce wyjaśnia nam skąd się wzięły niebezpieczeństwa, ale nie wytłumaczy dlaczego ich nie uniknięto, mimo, iż obie strony, tj. inicjatorzy rewolucji artystycznej i artyści, byli niewątpliwie pełni dobrej woli.

Zagadkę tę wyjaśnić nam może dopiero analiza stosunków artysty z odbiorcą i analiza społecznej przydatności jego dzieł. Wykaże nam ona, że wszystkie błędy dyskutowane na Sesji były w walce o realizm socjalistyczny tylko błędami taktyki a nie strategii.

Pierwszym błędem strategii było przyjęcie walki na terenie wyznaczonym przez nieprzyjaciela. Wśród postulatów wysuwanych przez inicjatorów rewolucji artystycznej pod adresem plastyki nie było ani jednego, który by dotyczył zmiany obecnego hierarchicznego układu jej poszczególnych gałęzi, ukształtowanego jeszcze przez kapitalizm. Dotyczy to zwłaszcza nieproporcjonalnej przewagi malarstwa szalugowego w stosunku do innych jego rodzajów jak np. malarstwa ściennego.

Ta przewaga była wytworem kapitalizmu. Okres pełnego ugruntowania się kapitalizmu i pełnej władzy politycznej burżuazji (mniej więcej od 1830 roku) — to okres bez architektury, a ta, która powstała w początkach XX wieku, programowo wygnała sztukę plastyki ze swych murów. Ponadto konsumpcja dzieł plastyki była w kapitalizmie czysto indywidualna, prywatna i co najważniejsze, dzieła te stawały się formą lokaty kapitału. Dlatego też obraz szalugowy, który był do tych zadań najlepiej przystosowany, zdobył sobie pozycję niemal monopolistyczną. Malarstwo szalugowe stało się synonimem malarstwa w ogóle.

Przyjęcie tego układu hierarchicznego doprowadziło do tego, że w dobie, kiedy powstają setki monumentalnych gmachów i tysiące metrów kwadratowych ścian czeka na malowidła — nie posiadamy właściwie malarstwa ściennego (świetne polichromie warszawskiej, gdańskiej i lubelskiej „Starówki” nie wychodzą poza granice zdobnictwa).

Drugim błędem było pozostawienie bez zmian kapitalistycznych stosunków produkcji i zbytu obrazów. Kapitalizm likwidujący panujący w poprzednich okresach system tworzenia dzieł sztuki na zamówienie konkretnych osób czy organizacji nadał twórczości artystycznej cechy produkcji towarowej. Artysta tworzył dla nieznanego odbiorcy i sprzedawał swe dzieła na rynku, którym były publiczne wystawy obrazów. Ten system doprowadził do zerwania kontaktu artysty z odbiorcą i do jego społecznej izolacji.

Obecnie system ten nie uległ prawie żadnym zmianom. Malarz nadal maluje dla nieznanego odbiorcy, nadal zbysza swe obrazy na wystawach z tą jedynie różnicą, że miejsce bogatej burżuazji i „Kunst-händlerów” zajęli urzędnicy Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Inicjatorzy rewolucji artystycznej domagający się zatem od malarza twórczości dla mas pozostawiając bez zmian taką organizację tej twórczości, która go od tych mas izoluje. Chcą zmieniać nadbudowę nie zmieniając bazy. Podczas gdy błędy wynikające z nieufności do malarzy utrudniają tym ostatnim swobodę twórczych poszukiwań, izolacja od odbiorców utrudnia im rozwiązanie zagadnienia komunikatywności ich dzieł, czyli nadania tym poszukiwaniom właściwego kierunku.

Tymczasem malarz chce malować tak, by twórczość jego była bliska dla masowego odbiorcy. By jednak

mógł tak malować musi mieć jakiś obraz tego odbiorcy. I rzeczywiście kierownicy polityki kulturalnej dają mu taki obraz. Niestety trudno uwierzyć w jego realność. Ów wyimaginowany odbiorca masowy łączy bowiem w sobie sprzeczności, które nie mogą współistnieć w prawdziwym człowieku. Jest on bowiem równocześnie tak zatruty starym kontaktem z naturalistycznymi i dewocyjnymi kiczami, na który skazywał go kapitalizm, że wszelkie śmielsze sformułowania plastyczne są dlań niedostępne, a zarazem jest nieomylnym sędzią wartości artystycznej i ideologicznej obrazów.

Ostatecznie nie można się dziwić, że malarz w pewnym sensie zaskoczony przez realizm socjalistyczny,

traktowany z nieufnością przez inicjatorów tego realizmu i pozbawiony wyobrażenia o odbiorcy swych dzieł i przekonania o ich społecznej przydatności — często popada w ostateczną dezorientację.

Wyniki dotychczasowych rozważań wyjaśniają do pewnego stopnia niepowodzenia pierwszych pięciu lat walki o realizm socjalistyczny w malarstwie, które chyba tylko zaślepiony optymistą może określić tak jak to uczynił Zimand w nr. 36 P.K., pisząc, że „owe lata można uznać za najpłodniejszy okres rozwoju naszego malarstwa bodaj czy nie w całym XX wieku”.

Logiczną konsekwencją opisanej wyżej genezy realizmu socjalistycznego powinien być okres poszukiwań i eksperymentów twórczych

zmiierzających do znalezienia odkrywczą formę dla nowych socjalistycznych treści. Poszukiwania takie z natury rzeczy pociągają za sobą gwałtowne starcia. Tymczasem na dotychczasowych wystawach panowała niezdolna idylliczność i uprzejmość. Dopiero na czwartej O.W.P. część malarzy przerwała konwencjonalne pogawędki i szczerze, własnymi nie zawsze składnymi słowami powiedziała, co ich osobliwie wzrusza i interesuje. Jeśli się zważy, że dyskusja na XI Sesji nie mogła jeszcze decydująco wpłynąć na tę wystawę, dzieli ją bowiem od jej otwarcia zaledwie dwa miesiące — te szczere odezwania są niewątpliwie pocieszającym objawem. Pośród opisanych wyżej warunków szczerze wypowiedzi wymagała bowiem połączenia cech akrobaty i kohatera. I tu leży druga przyczyna usprawiedliwiająca pozytywną ocenę tej wystawy przez uczestników obecnej dyskusji.

Jakie są więc najważniejsze postulaty nr przyszłość?

Przed wszystkim niech malarze rzucą narszcie w kącie białe rękawiczki. Niech sale wystaw staną się naprawdę placem walki rozbrzmiewającym okrzykami bojowymi, a nawet przekleństwami, oczywiście wyrażanymi za pomocą obrazów, nie słów. Niech dalsza dyskusja zajmie się dostosowaniem do potrzeb społecznych „ustawieniem” hierarchicznym poszczególnych gałęzi plastyki. Niech inicjatorzy i kierownicy rewolucji artystycznej dopilnują, by konkluzje XI Sesji nie pozostały martwą literą. Niech wreszcie kierownicy polityki kulturalnej dokonają takiej reorganizacji produkcji i zbytu obrazów, która by umożliwiła malarzom bezpośredni kontakt z odbiorcą. Ten ostatni postulat nie da się prawdopodobnie przeprowadzić od razu. Jednakże uzyskanie bezpośredniego kontaktu z masowym odbiorcą jest dla malarstwa tym, czym było dla Anteusza dotknięcie ziemi — niezbędnym warunkiem usunięcia jego chwilowej słabości. Dopóki więc nie da się tego osiągnąć przez planowe działanie, trzeba postawić na instynkt. I tutaj doniosłą rolę odegrać może zrealizowanie postulat Celnikiera: powstanie aktywnej grupy zdolnych malarzy partyjnych, która by utworzyła awangardę toczącej się walki.

Dzieła realizmu socjalistycznego mogą stworzyć jedynie artyści ideologicznie dojrzały, dla których budowa socjalizmu jest głębokim osobistym przeżyciem. Nie ludźmi się, że wszyscy nasi malarze odpowiadają tym wymaganiom. Większość z nich to ludzie najlepszej woli, którzy dopiero zapoznają się z marksizmem. Jednakże sama teoretyczna na znajomość materializmu dialektycznego i historycznego nie wystarczy, jeśli się jej nie podbuduje porywającymi przykładami wcielenia idei marksizmu w konkretne dzieła. Jedną wystawą Guttusa więcej działała dla przekonania malarzy do realizmu socjalistycznego niż wszystkie dotychczasowe dyskusje razem wzięte. Takich przykładów ciągle mamy w malarstwie jeszcze za mało. Otóż wspomniana grupa aktywistów będzie miała największą szansę na to, by ich dostarczyć. Ona też będzie miała największą szansę, by instyktownie wyczuć rzeczywiste pragnienia szerokich mas, dopóki nie stworzy się malarzom możliwości ich zbadania przez bezpośredni kontakt. Dlatego też podczas gdy pozostałe postulaty należą do dziedziny planowania raczej długofalowego, postulat Celnikiera — to zadanie operacyjne którego wykonania nie można odłożyć.



CHROSTOWSKA HALINA

W dniu 10 listopada została otwarta V Wystawa Okręgu Warszawskiego Związku Polskich Artystów plastyków

Z cyklu: „PGR” — W świetlicy.

POLEMIKA I KILKA WNIOSKÓW

JANUSZ BOGUCCI

Dobrze jest dla piszącego, gdy spotka się z krytyką, z ostrym nawet atakiem polemicznym. Fakt taki skłania do rewizji własnych sądów, pomaga myśl wypowiedzianą ocenić ostrzej, oczyścić ją z tego, co błędne i niejasne. Winiemem przeto podziękować Jadwidze Siekierskiej, która w Nr 37 „Przeglądu” kończąc opis swych wrażen z obejrzenia IV OWP, zgromiła surowym słowem mój artykuł o tejże wystawie pt. „Rozwaga i niecierpliwość”.

Wdzięczność moja jednak jest niezupełna; autorka bowiem potępiając z całego serca moją wypowiedź jako „wzór metniactwa i krękatwa”, a w najlepszym razie przykład dyplomatyzmu — kunsztownego ukrywania własnych myśli — popiera to twierdzenie bardziej swym temperamentem pisarskim, niż trafną argumentacją.

Na nieliczne argumenty odpowiem za chwilę. Przedtem jednak uczciwie przyznać chcę Jadwidze Siekierskiej słuszność tam, gdzie ją istotnie dostrzegam. Artykuł mój napisany był rzeczywiście językiem nadmiernie „fachowym”, czyli po prostu zbyt niejasnym i zawitym. To błąd. Lekturę utrudniał może również przesadna, nieco akademicka powściągliwość niektórych sformułowań. (Prawdę rzekłszy — tyle już mam na sumieniu ostrych sądów krytycznych, że chciałem choć raz przy tej rocznicowej okazji wypowiedzieć się w tonie spokojniejszym, nawet na temat malarstwa Krajewskiego i całej ich parafii).

Tyle oto słuszności znajduję w zarzutach Siekierskiej. Nie wydaje mi się natomiast, aby równie słuszne było jej generalne potępienie „wzoru metniactwa i krękatwa”. Uzasadnia je zapalczywa autorka dwoma argumentami.

Najpierw jako przykład niezrozumiałości przytacza zwrot: „Z drgań faktualnych wyłania się także psychologiczna wymowa studium portretowego Pugeta”. Zgoda, że mogło to być powiedziane prościej, ale cóż w tym niezrozumiałego? Każdy, kto spojrzy na portrety tego artysty, zauważy chyba, że ich wyraz duchowy wydobyt został przy pomocy niespokojnej i płynnej, drgającej drobnymi grudkami gliny, powierzchni rzeźbiarskiej.

Najbardziej nie podoba się Siekierskiej to, co piszę o impresjonizmie. Bo najpierw powiadam, że doświadczając tego kierunku „są przetwarzane i naginane ku celom socjalistycznej sztuki”, a wkrótce potem,

że „mocnemu wydobyciu treści nie sprzyja przerost skłonności impresjonistycznych, zacierając wymowę kształtu, gubiąc go w szkieletowości, topiąc w płynnym żywiole kolorowych plam”.

Jakże to jedno z drugim pogodzić? Wniosek prosty: autor polemizuje sam ze sobą i popada w balaśne gadulstwo. Siekierska domyśla się nawet dlaczego: najpewniej ze strachu. I z dużą przenikliwością psychologiczną dodaje: „Autor jakby się boi, aby mu nie zarzuceno pozytywnego stosunku do impresjonizmu i z drugiej strony nie chciałby całkiem potępić impresjonizmu w czambuł, skoro pokłosie postimpresjonizmu, jak wskazują nagrodzone pozycje, wydało niejagorsze owoce”. Taki to — proszę państwa — sprytny obrót z tego autora. Przyznaję, że sam siebie dotychczas nie doceniałem.

A zdawałoby się, że sprawa jest dość oczywista. Impresjonizm, jako żywotny ongiś kierunek, wydał wiele dzieł znakomitych i przyniósł trwałe zdobycze malarskie w zakresie koloru i światła. Dlatego, mimo słabości i ograniczeń tego kierunku, sądzę, że wysoko należy cenić pozostawiony nim dorobek i doświadczenie, którego nie da się dziś ani omiąć, ani zlekceważyć. Ale korzystając z tego doświadczenia, zwłaszcza w pracy nad czystą i mocną wymową barw — jest niedorzecznością galwanizować dzisiaj impresjonizm, naśladować obcą treść naszego życia wrażeńiową metodę widzenia i obrazowania.

Pogląd ten wielokrotnie głosiłem i uzasadniałem w ciągu minionych lat dziesięciu, zarówno wtedy, gdy układanie kolorowych plamek na płótnie było niezłomną zasadą akademicką naszych uczelni, jak i wtedy, gdy ma Manetach i Renoirach zaczęły kłąć oficjalne, zdjęte dopiero ostatnimi czasy.

Nie zdaje mi się więc, abym w sądach o tej sprawie zasługiwał na opinię płochliwego łowcy koniunktury.

Rzekoma zaś sprzeczność zdań w moim artykule wygląda po prostu tak: większość postimpresjonistów, którzy nazbyt żyłi się z tym kierunkiem, nie może się już od jego uroków wyzwolić i zbliża się dziś ku realizmowi w sposób polowiczny właśnie przez owe „naginanie” i „przetwarzanie”. Próby te określiłem wyraźnie jako usławianie, które często kończy się porażką i napisałem, na czym ta porażka polega.

Nie można bowiem w istocie przetworzyć doświadczeń impresjonizmu, jeśli nie zerwie się z samą zasadą wrażeńiowego patrzenia na świat. Dlatego też „mocnemu wydobyciu treści nie sprzyja przerost skłonności impresjonistycznych”.

Chyba to nie jest ani zawile, ani dwuznaczne. Różne spotykamy stopnie przewyżczenia zasady wrażeńiowości i różne stąd wynikają następstwa praktyczne. Jeśli np. rzeźbiarze Kenar i Horno-Popławski przemawiają do nas prostą, uczuciową siłą swych dzieł — to dzieje się tak dzięki logicznej, zwięzłej konstrukcji i wymowie brył, która przeciwstawia się impresywnym niepokojom i niedomówieniom widocznym jeszcze w szkieletowo traktowanej powierchni.

Podobnie (choć w mniejszym stopniu) mocną kompozycją i ekspresyjnym rysunkiem przeciwstawia się Rudzka w portrecie Dunikowskiego migotliwości kolorowych plamek, którymi maluje ten obraz. I myślę, że właśnie nie te pierzchliwe plamki, ale lapidarna wymowa kompozycji i rysunku, sprawia, że obraz ten wzrusza, że tak żywo określa postać starego mistrza. Plamki natomiast rozpraszają raczej to wrażenie, należą bowiem do owej dziedziny wdziękowej, ale blagiego „haftowania” kolorem, o którym z taką trafnością pisał Czeszko.

Cieszy mnie, jeśli impresjonizujący kolorysty — tacy jak Rudzka w portrecie, Studnicki w pejzażach lub Eibisch w szalorocznym swym płótnie „Po promocji” — zbliżają się ku realistycznemu obrazowaniu człowieka i natury. Ale ciesząc się wiem, że są to osiągnięcia w istocie swej niepełne i kompromisowe. Wyobraźnia tych malarzy obcuje bowiem z rzeczywistością tylko do pewnego stopnia, tylko na tyle, na ile pozwala jej przywiązanie do przebrzmiałych już dziś impresjonistycznych konwencji.

Dlatego ich polowiczne osiągnięcia, chociaż budzą radość, zaliczyłem do mniej cennych niż te prace młodych głównie artystów, w których dojrzała współczesny nam sposób plastycznego obrazowania rzeczywistości, styl naszej epoki nacechowany dążeniem do wyrazistej syntety form i przenikliwego określania odrębnej materialności przedmiotów.

Zmagania się kierunków artystycznych w walce o styl, o właściwy naszym czasem kształt twórczej wypowiedzi, to sprawa bez której

rozeznania nie da się słusznie ocenić pozycji poszczególnych twórców i dzieł. Dlatego właśnie artykuł swój poprzedni poświęciłem nazskicowaniu układu sił działających dziś w naszej plastyce oraz znaczenia ich dla jej przyszłości* (moja wina jeśli wyszło to nie dość „komunikatywnie”).

Dlatego również nie wydaje mi się słuszne, że Siekierska wśród uwag swych, na ogół b. trafnych, omawia jednym ciągiem jako pozycje pozytywne prace Strumiły, Rudzkiej, Studnickiego, Tarasina i Borowczyka. Inną bowiem wartość w historii naszej plastyki, inny kierunek i siłę rozwojową reprezentują ci trzej młodzi, a inny Rudzka i Studnicki. Z tej samej przyczyny w ocenie „Portretu Dunikowskiego” podpisuję się pod zdaniem Czeszki, a nie Siekierskiej, która obraz ten pochwała bez żadnych zastrzeżeń.

Jak bardzo nierozważnie się w walce twórczych i martwych nurtów naszej plastyki ciąży również na naszej polityce kulturalnej, świadczy dobitnie rozdział nagród na IV OWP. Przecież nagrody mają być jakimiś drogowskazami. Czy takim drogowskazem stać się ma dla naszych malarzy ambity i troskliwe wypracowany, ale najbardziej pompierski spośród obrazów Eibischa? Przyznać też trzeba, że równorzędne uwiecznienie „Naszej ziemi” Strumiły z najnowszym malowidłem Krajewskiego, to już niedorzeczność całkowita, stawiająca na głowie wszelkie kryteria oceny. Niezmiernie wątpliwe wydaje mi się także wysunięcie grupy górników Wieckówny na pierwsze miejsce przed rzeźbami Kenara, Horno-Popławskiego i Aliny Szapocznikow.

Wydanie takich orzeczeń przez kompetentną Komisję po XI Sesji Rady Kultury było jednak pewnego rodzaju aktem odwagi.

Przyznaję, że gdy bardzo opóźniła na wieść o tych decyzjach dotarła do mnie na cichą prowincję — pożałowałem szczerze nazbyt tym razem oględnego tonu swojej wypowiedzi o wystawie. Trzeba stwierdzić, że w obliczu tych zdarzeń reputację naszej krytyki podparł przede wszystkim Bohdan Czeszko, a Siekierska ma słuszność niewątpliwą, chwalać tak gorąco jego wystąpienie.

* Wynikające stąd opinie o niektórych pracach, a m. in. o obrazach Eibischa i Rudzkiej połączam równocześnie w artykule o IV OWP w nr 29 „Życia Literackiego”.



Rys. B. Kussak

G D Z I E Ś W T E R E N I E

JÓZEF MORTON

Mała szkolna sala. Na ścianach jakieś wykresy, obrazy. Dziwnie małe ławki, niemiłosiernie poszczerbione i pocięte różnego rodzaju nożami, przed nami stół nakryty białoczerwonym materiałem. Na nim po bokach kwiaty w doniczkach, a w tyle, przywarta do samej ściany, stoi tablica. Jest grzeczniwie, do czysta wymyta, miało się na niej wypisać nazwiska kandydatów do Frontu Narodowego zaraz po sumie, na kiedy wyznaczone było zebranie ogólne dla czterech gromad: Biebrzy, Pomianowa, Woli i Biskupic. Ale to „zaraz” najpierw przeszło w długie kwadransowe wyzkiwania na ludzi, potem w godziny. I oto jest już czwarta, a wciąż nikogo nie ma. Nawet z Biebrzy, wsi miejscowej, a siedziby przyszłej rady gromadzkiej. Ogłoszenia na kilka dni przedtem wylepiono na wsi, oprócz tego soltys chodził po domach upominając wszędzie, żeby przyszli, bo to ważne zebranie, kierownik szkoły, Kobyliński, również usiłował trafić do przekonania tego i tamtego tak przez szkolne dzieci, jak i w rozmowach prywatnych — wszystko okazało się na próżno. Poza Ostem i Kubalem z Biskupic nikogo więcej nie było.

W pierwszych ławce siedzi Mróz Stefan, przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Biebrzy, człowiek jeszcze młody, o twarzy ścigłej, kciostej. Jest dziwnie osowiały, jak po przepiciu, z oczu jego czytarn, że gdyby nie to wysokie stanowisko, jakim obdarował go ponoć wuj, przewodniczący Powiatowej Rady, też by go tutaj nie było. Wczoraj słyszałem od Buraka, mieszkanka Biebrzy, że nie będzie więcej zajmował żadnego stanowiska w radzie, że pójdzie z powrotem do roboty, do spółdzielni produkcyjnej, której jest członkiem. A przecież był na kursach dla przewodniczących — i mimo to?

— Ej, niech pan temu nie wierz — powiedział Ambrosz, chłop cwaniak — bo co on taki głupi, że by chciał do współpracy na sam rozpusza, co na to ludzie powiedzą, czy będą się cieszyć czy smucić.

— I co wy na to? Na to jego gadanie!

— A nic — odrzekł prosto — dobroci jego takiesmy się najedli, że i gadać się nam już nie chce o tym, jego krzyków, pieronstw, pomiatańia ludźmi...

Tak mówią o Mrozie, lecz mówią równie, że to, co w Biebrzy i po innych wsiach jest dokonane, dokonane zostało przez państwo, przez centralne władze. I jest elektryczność, jest Ośrodek Zdrowia, będzie izba porodowa. Aha, jest jeszcze szkoła rolnicza w dawnym pałacu Ratyńskich. Tyle młodzieży z Biebrzy i okolicznych wsi uczy się w jednym roku na wyższych uczelniach, ile uczyło się w ciągu dwudziestu lat przed wojną. Niedawno założyli we wsi radiowęzel... Gmina w zakresie własnych kompetencji nie zrobiła dla wsi nic. Co gorzej, pod rzą-

dami co i raz zmieniających się dygnitarzy co mogła, to psuć. Mostki się wala, most na rzece na pewno nie przetrzyma wiosennego wylewu, drogi — rozbite, o świetlicy nikt ani wspomni, Ośrodek Zdrowia, do którego powstania w niczym nie przyczyniła się Gmina, bo nawet cegiel nie przydzielono na ściany, niedawno ogrodzono chruśtem z prywatnego przydziału komendanta posterunku MO, tow. Zakrótka, a nocą w Biebrzy takie panują ciemności, jak w czasach, kiedy święcono po domach kagankami. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby przykroć choć że dwie żarówkę do stupów. Czyżby czekali z tym na decyzję z Warszawy? Za to nie czekano na decyzję w sprawach przyznawania pożyczek — kumotrom i umarzania podatków — swoim znajomkom.

— No i co, towarzyszu — powiedziałam — można uważać, że już po zebraniu. Spróbujemy je zrobić w przyszłym tygodniu, jak myślicie?

— Można, dlaczego nie? — odpowiada sennie. — Tylko odpust u nas w przyszłą niedzielę i wtedy to już na pewno nikt nie przyjdzie.

— Od was, że spółdzielni produkcyjnej, też nikt nie przyjdzie?

— Od nas z Biskupic przyjdą. U nas nie to, co w tej sakramentkiej Biebrzy. Naród u nas uświadomiony, bojowy przebudził się w nim patriotą biskupicki.

— A dzisiaj nikt nie przyszedł?

— Mróz się miesza, po chwili odpowiada rżącym się głosem.

— No, Oset jest, Kubal... Nie widzieliście ich?

— Bo liczą na stanowiska w przyszłym Radzie — przypomina mi się złośliwie powiedzenie któregoś z bierzaków, ale nie mówię tego.

— To i wasza wina — powiedziałam po długiej chwili — że Biebrza i okoliczne wsie tak mało obchodzi sprawy wyborów. Waszej ziele roboty.

Mróz jest wyraźnie zaskoczony.

— Moja wina? — pyta i nagłe wykrzykuje: — Co wy mi tu będziecie opłacać głodne kawaly! Moze dlatego, że ściągam skup i podatki? Że chłopom siedzę na karkach? — rozindygota się, oczami wprost mnie spala. — Wolelibyście, żebym tego nie robił? To co by jadł robotnik w mieście? No, nie myślałem, że przez ściąganie skupów i podatków można wykonywać wrogą robotę...

— Towarzyszu — przerywam mu tę demagogię — ściąganie skupu i podatków to nie jedyny obowiązek przewodniczącego Gminnej Rady. Ale nie mówmy o tym. Powiedziecie mi lepiej, co myślicie o „karych bożej”, jaka miała spaść na Grzyba Henryka?

Mróz nie spuszcza ze mnie spojrzenia. Oczy jego są jeszcze zle, Milczy, nie widząc widocznie, co mi odpowiedzieć.

— Czyżbyście nic nie słyszeli o tym? — zapytałem jeszcze lagodniej niż przed chwilą. — To cała Biebrza aż się trzęsie na ten temat...

— No, zwariował — bąknął.
— Na pewno?
— Tak ludzie gadają.
— A jakie jest wasze zdanie?

Żadne. Nie wie, co o tym myśleć. W końcu powiada, że sprawa tej „kary bożej” to po prostu bzdura. Tymczasem to nie bzdura. To jeden z kluczów do rozwiązania, wyjaśnienia sytuacji w Biebrzy. Może nie jest on z tych największych, ale jest dość ważny, i na pewno w niemałym stopniu przyczynił się do tego, że na zebranie Frontu Narodowego nikt nie przyszedł, że skup i podatki leżą, bo temu, że Biebrza od początku nie ma szczęścia do dobrych przewodniczących, tu już winien kto inny.

Nim jednak zajmujemy się „ukaranym za nieczne grzechy i występkę przeciw Bogu i kościołowi” Grzybem Henrykiem, „Henrysiem” — jak go przezywają wsiowi, po którego w tych dniach przysłano pogotowie i zabrano go do szpitala, zajmmy się wprawie jego bratem, „Zdziołem” a jeszcze lepiej — ojcem ich obydwóch, zwanym przed wojną „panem posłem”.

Jan Grzyb, który w roku 1936 został „panem posłem”, nie był „takim sobie chłopowinką”, jakby należało sądzić po jego wyglądzie. Ludzie, którzy go pamiętają, powiadają, że to był „spekulak”, który dobrze wiedział jak pospekulować, żeby wygrać i choć przez parę lat przed śmiercią zabawić się i użyć tego świata. I oni mają rację. Bo Grzyb był tylko spekulakiem-graczem. Co bowiem mógł go obchodzić los wsi? Podupadły średniak, marny gospodarz, jedzący trzy razy dziennie zalewającą z czarnym, razowym chlebem, za wszelką cenę chciał się stać majetnym gospodarzem, przed którym by wszyscy czapkowali jak przed hrabią Ratyńskim i to pragnienie wydzignięcia się ze swojej biedy było jedynym motorem jego wstąpienia do szeregów ludowców. A nuż co z tego wyjdzie, jak wyszło Waleronowi, Witosowi i innym? — myślał zapewne. — Przecież ja nie gorszy od nich!

Świeżo upieczony „Wyzwolenowiec” o prezentacji dość niepozornej, często zaglądający do kieliszka, miał jeden wielki walor: umiał chłopów czarować i ludzi rajem, którego mieli dostąpić w tym samym dniu, kiedy on zostanie wybrany na posła. Toteż fama o nim, jako o „prawdziwie naszym działaczku” dość szybko zalałała coraz szersze kręgi, zwłaszcza, że stałym reżenem jego wiecowych mów było domaganie się reformy rolnej i pogroźki pod adresem Ratyńskiego, którego już dawno należało puścić z torbami, a ziemię jego rozdać biednym chłopom.

Ta reforma rolna to był największy jego atut i ten atut w końcu wygrał, bo chłopstwo, głodne ziemi, a na dwory patrzyące z nienawiścią i często buntujące się przeciw nim i przeciw sanacji, ostatecznie, masowo poparło „prawdziwie naszego działacza” i Jan Grzyb został „posłem”, „nie tykalną osobą”, której ważność mierzyła się tylko wielkością gazy poselskiej, niczym, niestety, więcej. A że ta gaza była dość znaczna, nawet się nie spuszczało, kiedy pomiędzy „panem posłem”, a wsią wytworzyła się przepaść. Pan posel chodził już „pod krawatem”, do Warszawy „wyjeżdżał z teczka, jak minister”, o reformie rolnej rzadko kiedy „wspominał”, a Ratyński przestał być dla niego wrogiem. Niebawem przystąpił do budowy domu z cegły, z mnóstwem większych i mniejszych pokoi. Raj obywateli chłopom stał się rajem tylko dla niego.

Obydwa jego starsi synowie, Adam, przezwany „Zdziołem” i Henrys, dobrze muszą pamiętać te czasy, ten splendor otaczający ich ojca, wygodne, dostatnie życie, i przypuszczalnie już wtedy zrozumieli wielką dla siebie prawdę, że przez umiętną grę polityczną można dojść do czegoś. Do wywindowania się, do osiągnięcia majątku potrzebnego jest tylko spryt, który chłop w Biebrzy nazywają po prostu „złodziejskimi myślami”.

Tych złodziejskich zmysłów nie brakowało Adamowi. Jako uczeń gimnazjalny prenumeruje „Wici”, „Zielony Sztandar” i ulubionym konikiem wszystkich jego wystąpień polemicznych z kolegami jest... wywłaszczenie dzieciaków z ich majątkości. Jeszcze do dziś krąży po Opowie wspomnienie tych jego wystąpień, bo były one w tych czasach zbyt śmiałe, zadziorne, jak je nazywali koledzy, a Adama „Zdziołem”, z którego później powstał „Zdzior”.

W 1938 roku matura, w 1939 żeni się z prostytutką z wsi, która stała się jego żoną, która przostą dziedziczyła hańsę i zabudowania gospodarskie. W tym też roku wchodzi w ścisłą współpracę z komunistycznymi działaczami i teraz śmiało może tu i ówdzie mówić, że nie kto inny, ale on będzie widzieli dobrą Ratyńskiego, a wtery pokaze, co potrafi!

Naturalnie w czasie okupacji „wywrotowiec”, „komunista” nie mógł pozostawać u siebie w domu, w Biebrzy. Wraz z innymi poszedł więc do lasu. O jego działalności z tego okresu nie wiadomo nic. O „Polanie” — jego pseudonim — nie mówią nie ani kroniki partyzanckie, ani... raporty niemieckiej policji. Przypuszczalnie krążył od jednej wsi przyległej do drugiej, okładając daninę coraz to inny dwór i uwodząc coraz to inną dziewczynę.

Rok 1944, to data niezwykle ważna w jego życiu; wychodzi z lasu i jako człowiek o „wielkich zasługach” w organizującym się starostwie obejmuje funkcję pełnomocnika do spraw reformy rolnej, a następnie — komisarza ziemskiego.

Ziścił się jego najgorętszy sen, dobił do portu: będzie dzielił ziemię Ratyńskiego!

Ledwo przekroczył próg dawnego starostwa stał się innym człowiekiem. Zawsze wyzywająco patrzył wszystkim w oczy, teraz, jakoby nagle oślepił, nikogo nie dostrzegał, głową zdawał się sięgać nieba i kroki stawał duże, sztywne.

Na mieszkanie dla siebie zajął siłą trzy pokoje i kuchnię, umeblował je najładniejszymi meblami, jakie znalazł w powiecie i już nie chodził nigdzie, a jeździł karetą zabraną z jakiegoś dworu. W jakimś czasie potem przystąpił do przeprowadzenia reformy...

Otoczony od rana do wieczora bliższymi i dalszymi swoimi krewnymi, rożnymi kumotrami i „ocniakami” — opowiadano dalej — tak dzielił ziemię, jak tylko jemu się podobalo, najlepsze i największe działki wykrawając dla siebie, teściowej, matki Henrysia, no i... żony swojej. A ponieważ ziemia to byłoby zbyt mało dla jego apetytu, zaczął „konfiskować” wszystko, co się tylko do konfiskaty nadawało. Jasniepańskie futra, meble, garnki, łyżki, kieraty, krowy, konie, kamienie, cegły, wozy, a nawet starą karetę.

Podwoda za podwodą szła do Biebrzy zwoząc mu wszelakie dobro, a Zdzior przy byle okazji wygłaszał publicznie:

— My, komuniści, zanim zaczniemy budować socjalizm w Polsce, musimy najpierw zniszczyć klasy wyzyskiwaczy. A jak je najlepiej zniszczyć? Przez konfiskowanie im wszystkiego, całego ich dobra, na którym jeszcze do dziś widnieje krew mojego oziada i pradziada.

Henrys patrzył na Adama z podziwem, a że i on pragnął dojść do czegoś, co prędzej poszedł w jego ślady. Nie mając jednak przesłosci i pozycji Zdziora. Stał się „na gorąco” radykalnym lewakiem, by tym lewactwem kryć swoje grzechy. Odtąd wygłaszał publicznie, że Stalin i Marks to jego bogowie, statut partii był dla niego religią, a pod adresem kościoła i księży rzucił różne pogroźki... Gra „chnęła” i mógł sobie teraz śmiać poczynać, bo władze partyjne i powiatowe przestały patrzeć na jego ręce zachwycone jego „bojową postawą” tak dalece, że stawiano go za wzor członka Partii.

Za to Zdzior na wyraźną ingerencję któregoś z pracowników Komitetu Wojewódzkiego został narazcie „przyskrzyniony” i za wszystkie kradzieże i malwersacje usunęto go i z Partii, i z pracy. — Ku jego największej radości, on doś miał jednego i drugiego, czas było wracać na „roczne zagony”. Choć wcale nie jeden z przyjaciół, którzy go uratowali przed więzieniem, ciągnął go do Warszawy, gdzie na pewno udało mu się wyrobić dość poważne stanowisko przez wzgląd na jego przedwojenną działalność, nie wyjechał z Biebrzy nigdzie. Nie chciał być szaleńcem, który by w przededniu trzeciej wojny opuszczał swoje dobra. Raczej należało mu czynić wszystko, żeby o tej trzeciej wojnie stało w Biebrzy gadano, żeby jej wyglądzano, i zaczął dobierać sobie ludzi spośród obdarowanych suto w czasie reformy...

Dom jego, a właściwie jego żony, stał po drugiej stronie drogi, niedaleko poselskiego pałacyku. Był to drewniak, chlew — staroswiecki, z gliny, stodoła-lichota. Ale na nowe zabudowania pogrążył się już olbrzymie kupy cegły, odkrył słomą przed niepożądanym wzrokiem, leżały stosy desek. Kantówek.

Zdzior, przebrany w najgorsze ubranie, żeby jak najprędzej wtopić się w szarą masę chłopską, przez wiele dni nie brał się do żadnej roboty, tylko patrzył na te cegły, kamienie, deski... Ot, niczego mu nie brak do wybudowania małego dworku. Tylko czy to, aby nie za wcześnie?

W końcu postanowił stawiać stodołę, okładając budowę dworku na inny czas, potem, ponieważ służąca Hanka i parobek „Halek”, przyjeżdżający z Warszawy, uciekli niedawno, zamorzeni i obtagani, zaczął się imać to tej, to owcej roboty, najcięższe podsuwając teściowej.

Na wieś wychodził rzadko i tylko wieczorami... I we wsi zaczynało się coś psuć... Niemal każdy z „wybitniejszych działaczy” dopuszczał się przestępstw: Czyż, wójt, Drewno Józef — przewodniczący, Kwiecień, Maciąg... Kara? Usunięcie z pracy! Jednocześnie zastanawiając się szybko malała organizacja partyjna, jakby na czyjś wyraźny rozkaz. Uswa się z niej jeden za drugim, a inni piją na umór. Pietrzak Zygmunt, kierownik gorzelni, Kubał, Oset i Mróz z Biskupic, którzy, jako członkowie zakładającej się spółdzielni produkcyjnej, coraz większy głos mieli w sprawach zarówno partyjnych, jak i gminnych — przewodził w tym. Zaczęły się też psuć coraz bardziej drogi i mosty, po sklepach stałe nie było najważniejszych towarów, a u sklepowych były coraz większe nanki, za które zadnego z nich nie ukarano. Każdy pozwalał sobie jak tylko mógł i umiał. Pozwolił sobie więc i Henrys, niedawno obrany sekretarzem Organizacji Partyjnej. Oto, wracając którejś nocy z Komitetu Powiatowego, napadł na plebanie w Ryskach Dużych, potem na księciół.

Zaalarmowany Komitet Powiatowy zamiast go pochwalił wydał na chuliganą wyrok: wykluczenie z Partii. I to była cała kara! Henrys nie stanął przed trybunałem sądu ludowego, przypuszczalnie dlatego, że sieć pajęcza Zdziora sięgała daleko i dla swojego brata już wtedy miał wyznaczoną specjalną rolę.

A był to już czas, kiedy władze powiatowe coraz ostrzej stawiały sprawę założenia spółdzielni produkcyjnej w Biebrzy. Tylko jakoś wciąż bez skutku. Az któregoś wieczoru na otwartym zebraniu partyjnym ktoś podniósł rękę do góry. Był to Zdzior.

Zapatrzyony cały w sekretarza powiatowego komitetu powiedział:

— Mysmy wszyscy błądzili. Myśleliśmy, że gospodarka indywidualna to nasz szesam, a to była nasza zęba, nasze nieszczęście, bo co mielismy dotąd z niej? Biedę, jeżeli nie nędzę! Dobrze było i jeszcze jest tylko kulać i wrogom ludu. Ale my się dobierzemy do nich. Przez założenie spółdzielni produkcyjnej poderwiemy napierw podstawę ich bytu, jak powiedział Lenin. Dlatego ja pierwszy podpisuję się pod spółdzielnią. A kto nie pojde za mną — popatrzyl wyzywajaco po zebranych — tego trzeba będzie uznać za wroga i z takim postępować jak z wrogiem!

Zagrał świetnie i bardzo w porę: własnie niedawno jego zona, która dziwnymi drogami otrzymała stanowisko kierowniczki urzędu pocztowego w Biebrzy, została oskarżona o nadużycia przy pobieraniu cla od paczek zagranicznych i prawdopodobnie tą sprawą zajął się już prokurator, a zaległości podatkowe Grzyba sięgały już dwudziestu kilku tysięcy.

Komitet powiatowy był zadowolony „patriotyczną” postawą Zdziora. Jego doradę, żeby wszystkich, uchylających się od przystąpienia do spółdzielni, traktować jako wrogów, naturalnie przyjął, wszystkie zaległe podatki umorzono mu, aferę pocztową osnuto głębokim milczeniem, a kiedy Henrys poszedł w ślady brata, chcąc jak najprędzej zmasać swoje grzechy i od nowa zacząć działać, a potem i inni, z których każdy miał swoje „potrzeby” — pożyczkowe i podatkowe — przystąpienie do zakładania komitetu założycielskiego. Zgoda jednak ich na przystąpienie do spółdzielni, to nie była zgoda na powstanie tej spółdzielni w Biebrzy. I co ciekawie, wszyscy deklaranci poza kierownikiem szkoły Kobylińskim nie cieszyli się dobrą reputacją we wsi. Celowo tak się dobrali?

Powiat, wyuczując jakieś kombinacje ze strony tego i tamtego, zaczął nalegać, oświadczając, że do założenia spółdzielni wystarczy ilość zadeklarowanych. Na założycieli padł „blady strach”. I tak się jakoś od tego czasu składało, że ilekroć pojawiał się we wsi samochód z powiatu, zadnego z nich nie było w domu. A zaraz po żniwach tego roku któregoś wieczoru miała się odbyć między braćmi dość niezwykła rozmowa.

Jeden na drugiego krzyczał — jak mówią — kłął, wypominano sobie wszystko, czego się który dopuścił, potem naraz dało się słyszeć:

— Czy wiesz, że wiesz cię nienawidzi za twoje bluźnierstwa?

Zapadła nagle cisza.

— A czego jak czego, ale tych bluźnierstw nikt ci nie daruje, nie zapomni. Jesteś jak parszywa owca. Jak trędowny! — grzmiał starszy brat.

I znów zapadła cisza, tym razem do końca już nie przerywana żadnym głośniejszym słowem, a w kilka dni potem pokazały się pierwsze znaki „kary bożej”, jaką został dotknięty Henrys za wszystkie swoje bluźnierstwa i nieczne postęпки przeciw Bogu i kościołowi.

Siedział w stodole na snopach słomy, kurzył wielkie papierosisko skrócone w gazecie, siekierę trzymał na kolanach i mruczał do siebie:

— W piekle się smażę, diabły już na mnie czekają...

Kiedy w kilka godzin potem zaszła tam matka, zobaczyła go stojącego na snopach słomy, ze sznurkiem na szyi. Narobiła krzyku przestraszona. Henrys zdjął więc sobie spokojnie sznur i wyszedł na podwórze, mrucząc od nowa do siebie o piekło i diabłach. A po chwili rzucił się do bramy jak furia i pognał prosto na pole, do Zdziora. Dopadłszy do niego krzyknął rozdzierającym głosem:

— Bracie, ratuj mnie, bo diabły mnie gonią. Do piekła chcę mnie wziąć za moje grzechy i bluźnierstwa...

Ręce miał rozłożone — opowiadał mi — głowa do góry, oczy w słup. Ani chybi zwariował, Bóg go pokarał.

— A brat co na to, kiedy go takim zobaczył? — zapytałem.

— Brat. Ani słowa nie rzekł. Patrzył na niego jakby mu go było żal, ale kto go tam wie, co sobie w duchu myślał. Jego złodziejskich zmysłów nigdy nie zdołało rozeznac. To chłopak postął przy nim chwilę, dwie, mruknął coś pod nosem i zabrał się prosto przed siebie z oczyma przy ziemi, a rękami tak wzmachiwał niczym wiatrak. Widać naprawdę zwariował, bo przybrał sobie do głowy bluźnierstwa przeciw Bogu, a najwięcej chyba wspólnotę, w której nie czekały go smaki.

— Czy możliwe, żeby tak nagle zwariował?

Wiklina, chłop stary już i mocno przgarbiony, popatrzył na mnie karcąc.

— Bóg, jak chce kogo ukarać, to zawsze nagle, nie wiedział pan o tym?

— A ta ich rozmowa?

— Jak rozmowa! Pogadali, pokrzykali na siebie, może się i pokłóli, potem się rozeszli, zwyczajnie, a z Bogiem żartów ani kłótni nie ma. Henrysowi długo uchodziło na sucho to brykanie, aż i na niego padło. A brykał, a dokazywał, świat nie widział co on wyprawiał. Wiadomo, był partyjny. A każdemu

partyjnemu wydaje się, że świat cały do niego należy.

— U was w Biebrzy?

— A gdzie indziej po wsiach jest inaczej?

— Tak, inaczej. Znam człowieka, który chociaż był dobrym członkiem partii i najlepszym Ormowcem w swojej wsi, za chuligański wybrk został skazany na półtora roku więzienia.

— A u nas przewodniczący, no, Mróz, pobli siekierą na zabawie w Pomianowie Maniochów, pokatował ich, że trzeba było ich odwozić do szpitala i co? — wpatrzył się we mnie z triumfująco-złośliwym uśmiechem — powiedział mi choć marne słowo? Coż! Ma wuj! Jest prezesem Powiatowej Rady, przez to nasz Mróz jak zachował, tak nadal zachuje i przewodniczy... w picu i krzykach — dodaje, potem wzdycha. — Ale zmieni się to, na pewno, się zmieni, bo kara Boga dotknie już jednego.

— Kara Boga! — odbija się szepem — echem po wielu domach, bo „obłąd” Henrysia od pamiętnego dnia pogłębiał się coraz bardziej. Kilka razy jeszcze powtarzał się próby popełnienia samobójstwa, nikogo ze wsi nie poznawał, z nikim też nie rozmawiał i ustawicznie mruczał o piekło i diabłach. Czyżby naprawdę zwariował?

— Tak, zwariował — powiadają co bogalsi gospodarze, a nawet i biedniejsi. — Bo jak miał nie zwariować, kiedy przez głupotę podpisał się pod wspólnotę? Dlatego uciekał nam od tej zarazy, żeby i z nami tak nie było, uciekał od wszystkiego, co z rządu idzie, a do gminy niech garna tacy jak Mróz, Kubal, żeby prędzej cały naród przejrzał na oczy...

Co na to wszystko Mróz? Mróz spełnia tutaj rolę kółka w rękach zdecydowanego wroga. Nieswiadomie? A może świadomie? Czy to jednak ważne? Ważny, istotny jest tylko skutek jego roboty.

— To niedobrze — nawiązuję do przerwanej myśli — że nie macie swojego zdania o tej „karze bożej”. A jak skup i podatki na gminie?

Jest w nowym, „odświeżonym” garniturze, na jaki nikogo ze wsi nie stać. Jego niebieskie oczy, osowiaste i zaszepcone, rzucają na mnie nagle krótkie, podejrzliwe spojrzenie i słyszę westchnienie:

— Jeszcze nie zebrane! Ktoś mi psuje.

— I na pewno ktoś wam psuje, ale wy sobie też psujecie. Bo siedzenie na karkach chłopów, to nie metoda.

Spojrzałem na zegarek. Godzina punkt piąta. A więc nie ma co dłużej czekać.

Przed szkołą, o dziwo, spostrzegam kilku chłopów z Biebrzy i jedną kobietę. Na zebranie przyszli? Tak. Nie śmiejąc wejść do szkoły czekali tutaj. Z tak szczupłą garstką nie można jednak odbywać zebrania.

Z uczuciem prawdziwej radości witam się to z jednym, to z drugim i podchodzę do kobiety: opatulona chustką, że tylko oczy jej widać, patrzy na mnie wyczekująco.

— To i wy tutaj? Pakulina, zdaje się, nazywacie się?

— Tak, Pakulina Franciszka.

Znam ją i dużo o niej słyszałem. Przed wojną zmarł jej mąż, w 1939 roku straciła syna na wojnie, a w pierwszych dniach ofensywy całej jej gospodarstwo rozbił pocisk artyleryjski. Z trudem udało się jej postawić stodołę, ale do budowania domu i chlewów wciąż jej daleko: nie ma dla niej przydziału budulca. I od dziesięciu lat, od pierwszego dnia po wyzwoleniu, gdzie indziej trzyma krowę, konia, gdzie indziej mieszka, kątem u obcych, gdzie indziej ma stodołę.

— Jak się wam żyje? Wciąż ciężko? — zapytałem.

— A no, ciężko — odpowiada głucho, niewyraźnie. — Dlatego przyszedłem.

— Na zebranie?

— Nie, a do przewodniczącego. W gminie wciąż na mnie ino krzyczy i za drzwi wypycha, ile razy proszę go o jaką cegłę czy drewno, to umyślnie tu przysię.

— O co chodzi? — pyta Mróz opryskliwie z daleka.

— Ano, panie — zaczyna Pakulina niesmiało i krok za krokiem zbliża do niego. — Może by pan... z tym drzewem dla mnie na jaką chałupinę...

— A czy ja ją wam burzyłem — rozjadawa się nieśmiało Mróz — że do mnie przychodziecie? Przecież już nie raz i nie dwa gadalem wam, że nie mam żadnego drzewa na żaden dom dla was. Tę mosty się na gminie wala, a wy mi tu... Jakbyś rozumie kobietę nie miała, — Naraz służbowo, z wysoka: — Pisaliście do powiatu?

— A no, pisałam — szepnęła kobieta przez łzy.

— To piszcie teraz do województwa, piszcie do Warszawy, a mnie dajcie spokój. Cholera, wszędzie człowieka znajduje!

— To jakie, nigdy już mam nie mieć swojego domu?

— Zapiszcie się do spółdzielni produkcyjnej, to w kilka tygodni wybudujemy wam domek, trzy pokoje z kuchnią, piec kładowy... Chciecie?

Kobieta chwilę jeszcze patrzyła na Mroza nie rozumiejąc, dlaczego z niej szczydzi, potem westchnęła boleśnie i odwróciła się. Szła w stronę furki drobnymi krokami, jakiś niezmierny ciężar przysgniał ją do ziemi.

— Słyszeliście, jak zamknęłam jej gębę? — wołał do mnie triumfujący Mróz. — Jedno słowo tylko powiedziałem, jedno słowo o spółdzielni, a zaraz zamilkła. I pomagać takim?

WIELKA TECHNIKA

**NOTATKI
Z PODRÓŻY
PO ZSRR (3)**

JACEK BOCHEŃSKI

— Iwanie Iwanowiczu, jak tam technika w waszym kolchozie?

— Mamy wszystko. U nas wielka technika.

— A pasiekę też macie?

— Na najwyższym poziomie, ma się rozumieć.

— A jakie pszczoły?

— Pszczoły po prostu jak gęsi.

— A ule?

— Ule? Zwyczajne.

— Więc jakże wasza pszczoła może wejść do takiego zwyczajnego, małego ula?

— Piszcz, ale wlaź.

Tę bezbrzeżnie głupią anegdotę opowiedziano mi dziesięć lat temu. Krążyło ich wówczas wiele, niektóre przetrwały do chwili obecnej. Wprawdzie dzisiaj wielka potęga techniczna - przemysłowa ZSRR jest już dla wszystkich w Polsce na ogół dowiedziona. Osiągnięcia gospodarcze uznaje się powszechnie. Nie wątpi się nawet, że Związek Radziecki wychodził wspaniale okazy zwierząt i dokonał poważnych wynalazków technicznych. Ale cała ta sfera spraw związanych z techniką i cywilizacją techniczną, przemysłem i gospodarką zawiera jednak nie wyjaśnione do końca zagadki. Wielu ludzi w naszym kraju rozporządza pewnymi sprzecznymi danymi na ten temat, sprzecznymi informacjami, a czasem i budzącymi wątpliwości doświadczeniami osobistymi.

U Bohdana Czeszki w „Pokoleniu” dwaj reakcyjniści, Rodak i Słupski, „opowiadali do znudzenia historyki o tym, jak to krasnoludziejce kłębili maszynkę do mięsa i dziwił się, czemu nie słychać muzyki”. Takich mniej więcej rzeczy dotyczą wątpliwości. Mogą obracać się w dziedzinie absurdu i w kategoriach bliższych rozsądkowi, ale zawsze są.

Przez długi czas nie widziałem w mnóstwie anegdot o maszynkach do mięsa i niezwykłych pszczołach nie poza beznadziejnym uporem koltuna, który nie chce przyjąć do wiadomości, że Związek Radziecki istotnie ma wielką technikę. Nie zastanawiałem się, na jakich elementach prawdy były te anegdoty oparte i dzięki jakim okolicznościom poza politycznym miały wzięcie. Bo przyczyny polityczne są jasne. Szowiniści i wsteczni paśli tymi dowcipami swą nieważność. Czy istniały jeszcze jakieś inne przyczyny? Zaczęłem się nad tym zastanawiać po raz pierwszy zwiędając ukraińskie kolchozy i sowchozy.

Nasunęło mi się wtedy pytanie, czy mógłbym swoim znajomym chłopcom w Polsce zreflektować dokładnie to, co zobaczyłem. Otóż — nie bardzo. Albowiem naraziłbym się na drwiny. Jakże na przykład w niektórych wsiach powiatu pulskiego mógłbym ludziom ciężkiej i prymitywnej pracy, mrukieliw następujące rzeczy: w kolchozie ciętą mają wodociąg i piją wprost z kranu, który się automatycznie otwiera za dotknięciem pyska; to, co u nas chłop wyrzuci spod krowy widłami, tam wywozi taśma biegnąca podziemnym kanałem aż do specjalnego zbiornika, gdzie nawóz jest przechowywany w idealnych warunkach; dojenie odbywa się przy pomocy elektrycznych automatów; swinie są najczystszyimi stworzeniami pod słońcem, ponieważ codziennie biorą prysznic — jakże bym to wszystko mógł powiedzieć i nie spotkać się z uśmieškami czy wyrażeniami pokpiwania? Działoby się tak nie dlatego, że chłopcy byłiby wrogo usposobieni do Związku Radzieckiego. Po prostu w ich pojęciu mówiliby humorystyczne bajdy, absolutnie nieprawdopodobieństwa, nie mające nic wspólnego z realnym światem ludzkim, boskim i zwierzęcym.

A cóż widziałem w ZSRR? Widziałem wielokrotnie urządzenia techniczne, maszyny i sposoby produkcji z innej epoki aniżeli ta, w której dotychczas żyłem. Były to rzeczy stworzone dla człowieka przyszłości. Musiałem wyobrażać sobie nowe społeczeństwo, złożone jak gdyby z samych inżynierów, będące niemal w całości inteligencją techniczną, wysoko wykwalifikowaną i zatrudnioną jako umysłowa obsługa fabryk i gospodarstw rolnych. Umysłowa, bo pracę fizyczną wykonywać będą automaty. Nie wątpiłem w tym kierunku zmierzają ustroje radzieckie, takie społeczeństwo ma powstać, pewne zaś jego elementy obecne są już dzisiaj.

Muszę otwarcie powiedzieć, że na technice się nie znam. W Związku Radzieckim miałem możność uświadomić sobie to bardzo dobitnie. Nie potrafię więc zwiędzonych podczas podróży obiektów przemysłowych, laboratoriów, instytutów technicznych ani wielkich fabryk żywności, kolchozów lub sowchozów — opisać sposobem, który zadowoliliby fachowcy. Mogę jednak zwrócić uwagę na zjawiska dostrzegalne dla laika, a ważne jako fakty społeczne.

Obecność i nieustanne wzrastanie techniki czuje się w Związku Radzieckim tak jak w pewnych miejscach świata czuje się obecność — bo ja wiem, czego? — winnicy, rybołówstwa, drobnego handlu, wszelkich cech, które uchodzą za typowe dla jakiegoś kraju czy miasta. Technika w Związku Radzieckim

jest już widoczna gołym okiem w krajobrazie, na ulicy: obcuje się z nią wciąż. To prawda, że podróż, którą odbyłem, przebiegała głównie przez ośrodki przemysłowe i że na zwiedzanie ich poświęciliśmy wszyscy wiele czasu, wskutek czego nasze spostrzeżenia mogły ukształtować się specyficznie. Ale jak wyobrażacie sobie — powiedzmy — pejzaż wsi ukraińskiej? Nie wdając się w malowanie wizji zbyt szczegółowej, łatwo zgadnąć, że konia i konnego jeźdźcę umieścić w tym pejzażu ponad wszelką wątpliwość, bo tak podpowie wam stereotypowa konwencja zaczerpnięta z malarstwa i literatury. Tymczasem konia zobaczyć na Ukrainie jest całkiem nie łatwe, natomiast w szczyrm polu widzi się pojazdy mechaniczne: samochody, traktory. Auta kolchozowe przenikają na bezdroża, od których polskiemu szoferowi zbielałoby oko. Na równinach doskonale płaskich, zamkniętych jedynie horyzontem, widać tu i ówdzie tyralierę ciągników. Ziemia jest czarna jak węgiel i tylko za maszynami widać się w powietrzu jasne smugi pyłu. Byłem na Ukrainie we wrześniu, podczas orrek jesiennych i tak właśnie (cokolwiek „schematycznie”) wyglądał pejzaż, który zapamiętałem. W sowchozie „Ukrainka” pod Charkowem samorochody osobowe kręciły się gęściej niż zdarza się to w niektórych naszych miastach powiatowych. W tymże sowchozie widziałem również konie, lecz rola ich okazała się nie tyle gospodarcza, co sportowa. Konie — rysaki były wielkiej urody. Młodzie Ukraińcy zaprzęgali je do małych wózków na dwóch kołach i ujeżdżali w tempie szybkim jak stepowy wiatr. Można powiedzieć, że tylko tyle pozostało w tym sowchozie z „techniki” starej, przedrewolucyjnej.

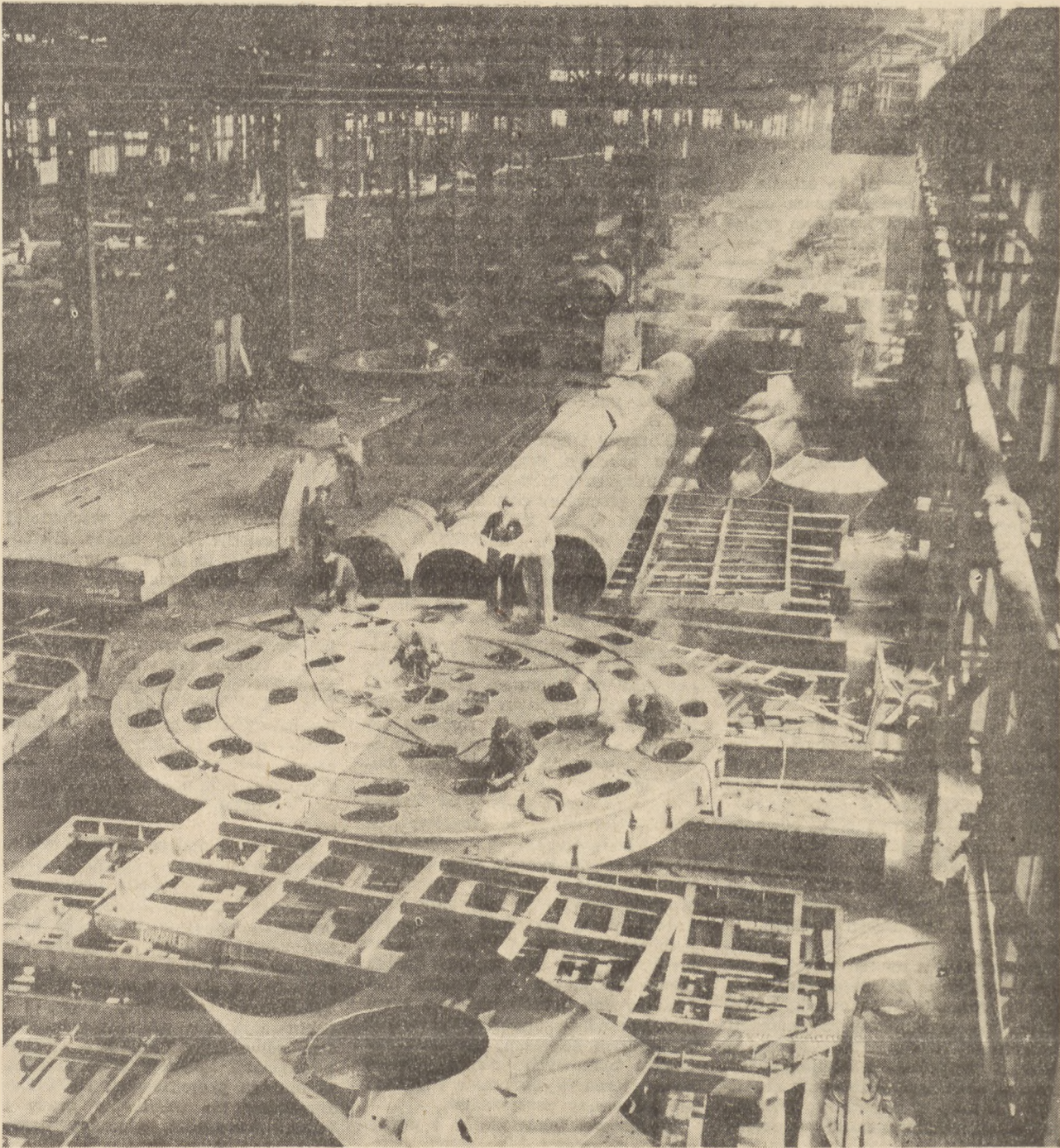
Wszystkie prace polowe oraz wszystkie inne zajęcia gospodarskie, związane z omlotem, przygotowywaniem paszy, karmieniem i pielęgnacją bydła, są niemal w stu procentach zmechanizowane. Wszystko, co wymaga od człowieka siły lub znacznej straty czasu, spełnia maszyna. Człowiek jest stopniowo zwalniany od dźwigania, pchania, mocowania się z ziemią i od wszelkiej żmudnej roboty, polegającej na dźwiganiu, ściganiu. Coraz rzadziej musi się beznadziejnie mazać. Gdyby w perspektywach ustroju nie zawierało się nic więcej, byłoby to i tak dobry ustrój. Gdyby tylko tyle miało być dane zaporoskim chłopcom, poleszukom, sybirakom, Kirgizom, Kazachom, byłaby to już ich droga do szczęścia.

Widziałem maszyny, których samo istnienie przyjąłem jako niespodziankę. Czułem się podniesiony w swojej ludzkiej godności, usatysfakcjonowany w wielkich, humanistycznych nadziejach stwierdzeniem faktu, że pewne prace mogą tak wyglądać, że można zebrać zboże z pola, omlóć i złożyć w magazynach nie dotykając go ręką, że to samo dzieje się ze słomą, z siewką, która sama się tnie i wędruje, gdzie trzeba. Pierwszy raz zobaczyłem dojrąki podobne do szpitalnych pielęgniarek, w białych kitlach, z telefonami i komfortowymi dyżurkami w oborach. Taka obsługa zwierząt jest godna człowieka. Ludzie mogą stać się rzeczywiście wolni tylko pod warunkiem, że będą tak pracowali.

Byłem w hucie „Zaporożstal”, w Charkowskiej Fabryce Traktorów, byłem u górników Donbasu i wśród uczonych, którzy obmyślają sposoby zapewnienia bezpieczeństwa górnikom. Wszędzie widziałem postępującą wciąż naprzód automatyzację i mechanizację wszelkich prac. Dziesiątki razy mówiono nam: wprowadziliśmy taki a taki automat, zastąpiliśmy tyłu a tyłu robotników, użyliśmy ludziom, zmieniliśmy charakter ich zajęcia. Obok procesów technicznych, które nam demonstrowano w zakładach produkcyjnych, poznaliśmy wielkie zaplecze naukowe przemysłu. Za przemysłem stoi myśl naukowców, nastawiona przede wszystkim na doskonalenie techniki, zwiększenie produkcji i wywyższenie robotnika, zatrudnienie w pierwszym rzędzie jego mózgu, a nie rąk.

Jakże prosta jest w swej istocie zasada funkcjonowania elektrowni wodnej i nad jak beznadziejnym żywiołem panuje tam garstka ludzi. Aby to osiągnąć, aby zbudować młynek wodny gigantycznych rozmiarów, niegdys Dnieprostroj, dziś Dnieproges, aby kierować prądem wielkiej rzeki spełniając jedynie czynności podobne do przesuwania galek radicaaparatu, potrzebne były trudny i ofiary pierwszej „piatiletki”, potrzebna była żelazna wola partii, żelazna polityka Stalina, pot wielu robotników i zalewanie wielu wrogów. Dzisiaj stoi Dnieproges jak wbita w rzekę grzebień. Wygląda półkoliste, zaczepiony o brzo i dno Dniepru, trzyma miliony ton wody. Znikły stare „porohy”. Nie zostało nic z wysokich skał: wszystkie przewyższyła fala. Tylko romantyczne legendy ludowe zdolały przetrwać. Opowiada się o chwili obecnej, gdzie stał Kozak, gdzie Kozaczka i jak z miłością na siebie patrzyli. Ołbrzymia masa wodna, wzbierająca od Dnieprostrowska do Zaporozża, wpływa pod

zęby turbin, a turbiny wyciągają z niej energię. Inaczej wyglądała ta woda, gdy wydostaje się po drugiej stronie przeszedłszy kołowroty Dnieprogesu. Jest spokojna, ospała, ledwie płynie. Energia wydobyła z niej porusza tymczasem przemysł południowych okręgów Ukrainy, oświetla miasta, prasuje blachę w „Zaporożstali”, prowadzi tramwaje, spełnia setki podobnych funkcji. Mógłbym mnożyć opisy technicznych osiągnięć radzieckiej Ukrainy, ponieważ widziałem ich niemało.



Dniepropietrowsk, zakłady metalowych konstrukcji im. Motowa, montaż platformy koparki kroczącej.

Mógłbym dać szereg przykładów rozmachu technicznego, głębokich przeobrażeń w przemyśle, mógłbym mówić o jego unowocześnieniu, o wynalazczości, o perspektywach człowieka w związku z tymi zjawiskami. Ale nie dodałbym wiele więcej do tego, co często opisuje prasa. Zdaje mi się, że opisuje w zasadzie wiernie, a bardziej fachowo i dokładnie niż potrafiłbym ja. Przejdźmy więc do sprawy podjętej na początku: do nieporozumień wokół radzieckiej techniki. Skąd się wzięła anegdota o pszczołach?

Czy wyszał ją z palca wróg, który świadomie kłamiał? Wróg rzadko kłamie od a do z. Woli ośmieszać i złośliwie interpretować pewne zjawiska rzeczywiste, bo zmyślenia łatwo demaskujemy, natomiast ze złośliwą interpretacją mamy wielkie trudności, gdy chcemy oddzielić fałsz od prawdy.

Moja anegdota zadowala kawiarnianych humorystów, mnie jednak opowiedziała ją ciemna analfabeta z Wołynia. Kobietina ta nie była wrogiem. Dlaczego się śmiała?

zało, uzbrojenie armii, która rozgromiła Hitlera. Sznurki jednak widziano, a Dnieprogesu nie. Wątpiono, aby ludzie, których dzięki pewnym cechom zewnętrznym uznano za prymitywnych barbarzyńców, mogli w ogóle obsłużyć wielką technikę. Któż to miał sobie radzić ze skomplikowanymi maszynami? Prostacy w nieobrobionych szynelach? Nie znają się przecież na zegarkach i nie potrafią jak należy zapiąć pasa. Wiszą im jakieś troki, a oni mówią o cudach techniki.

Niewątpliwie w odwodzie był przez wiele lat przemysł lekki. Z tym wiąże się inna sfera anegdot. Opowiadano w Polsce, że żołnierze radzieccy zachwycali się mnóstwem przedmiotów powszechnego użytku produkowanych przez przemysł lekki, różnymi maszynkami, luksusową odzieżą, a o zegarkach aż huczało. Tak było dziesięć lat temu. Gdy zwiędaliśmy w Kijowie fabrykę precyzyjnych aparatów elektrycznych, zachwyciliśmy się dia odmiany my. Albowiem zobaczyliśmy... maszynki do golenia. Elektryczne maszynki do golenia za sześćdziesiąt rubli, które gołą na sucho, bez pędzla, mydła i innych kłopotliwych dodatków. Aparaty fotograficzne są dziś tanie, produkowane masowo i sprzedawane szeroko. Lodówki, odkurzacze, adaptory — wszystko to weszło na rynek. Czy w dostatecznych ilościach? Z pewnością jeszcze nie, ale wobec wzrostu żądności wymaga się również popytu. Iluż ludzi zapisanych w kolejce czeka na samochody osobowe wszelkich marek, od popularnych Moskwiczów począwszy, na luksusowych ZIMach i ZISach kończąc! A zegarki? Zegarków widziałem w sklepach i na wystawach w bród. Kto je kupował? Sądząc z wyglądu — przeważnie kolchoźnicy.

Nie znaczy to, że kolchoźnicy mają lub mogą już mieć wszystko. Poziom ich życia nie zawsze odpowiada poziomowi gospodarstwa, które obsługują. Byłem na wsi krótko, ale i to wystarczyło, aby zobaczyć kontrasty. Zdumiał mnie wodociąg w cieletnikach oraz mechaniczne uprzątnie nawozu w oborach, powiedziano mi jednak, że w domach mieszkalnych wodociągów nie ma, a niedaleko od obory widziałem budki, z których korzysta człowiek w sposób najzupełniej prosty... bez mechanizacji.

Gdy patrzyłem z okien wagonu na „technikę widoczną w krajobrazie”, cóż w niej było? Ekskawatory przy robotach ziemnych i brygady kobiet pracujące opodal z łopatami w ręku. Gdy chodziłem po Moskwie, co widziałem? Dźwigi zawieszono nad potężnymi gmachami i stare uliczki z drewnianą zabudową, której dotychczas nikt nie rozebrał. Była więc nierównomierność w pejzażu, była w kulturze materialnej i w poziomie techniki.

Jeśli się chce mieć właściwy obraz Związku Radzieckiego, nie wolno popełnić dwu pospolitych błędów: nie wolno być pewnym, że wszelkie marzenia ludzkie zostały tam już zrealizowane, i nie wolno wątpić, że mogą być zrealizowane. To, czego nie ma dziś, rodzi się na jutro, często w sposób gwałtowny, szybszy od wszelkich rachub. Niestety, myśląc o Związku Radzieckim popełniamy często obie pomyłki: albo błąd pewności, albo błąd wątpliwości.

Obecnie, po powrocie z ZSRR, jestem bardziej niż kiedyś pewny. Byłem przez miesiąc wraz z całą rzeczywistością radziecką podmiotem tego ruchu, któremu ona ulega. Oddychałem tamtejszą atmosferą, poznałem miary, widziałem wielkość i charakter przeciwności, niosła mnie fala, wiem, jak drga, czego można się po niej spodziewać. Gdybym zobaczył opierzono, tłuste, pięciokilogramowe pszczoły, słowem pszczoły - gęsi, myślał, że bym się dziwił? A jakie! Wydałoby mi się to naturalne. I gdybym zobaczył małe „zwyczajne” ule — też bym się nie dziwił. Tam fantazje łatwo stają się rzeczywistością, ale przecież z tego świata, który był dawniej, coś zostało. Więc jest ul. Tylko, że jutro może z ulą wyskoczyć wieżowiec.

(dalszy ciąg nastąpi w tygodniowym opóźnieniu w numerze z dn. 9.XII b. r.)

Witold Wirpsza



WITOLD WIRPSZA

ZANOTOWANO DNIA 8.VIII.1954

Stające się jak smyczek uchwycić
I poprowadzić na strunach,
Z galęzi nowy kształt liści
Wychynąć — gdybym umiał!

Tego się nauczyć! — Z siebie,
Z półmroku, światła mi nie wywieść.
Z przedmiotów, z ludzi — jak? Jeszcze nie wiem,
Nazbyt się dziwię.

Może tylko w dźwięki ułożyć
Melodię ukrytą w różnych rzeczach świata;
Coś dźwięczy, pod samym sercem. Razem z dźwiękiem krążyć,
A dźwięk ulata, ulata.

I znów z mym sercem zostaje,
Znów szukam.
Znów droga, znowu rozstaje,
Ludzie, świat, nauka.

Stawanie się w szukaniu odnaleźć
Może to sposób?
I chyba prawdą jest, że nie ma wcale
Uporządkowanego, wyliczonego losu.

A może tylko iść przed siebie,
Popijać życie jak z manierki?
Nie wiem, mój drogi poeto, nie wiem!
Życie mądrzejsze niż twoje rozterki.

Wieczorem, w deszcz, w nastroju
Po prostu niewydarzonemu,
Gdy drzwi z pokoju do przedpokoju
Zaskrzypią, na pół uchylone.

URBANISTYKA na warsztacie

KAZIMIERZ WEJCHERT

Podsumowując swoje wrażenia zorouskie Marcin Czerwiński wyraził żal, że sprawę budowy Nowego Miasta Tychy „reklamuje się” tak mało — i że dziś jest ono znane tylko nielicznym fachowcom.

Na tle ocen dodatnich osiedla „B” w Tychach pojawiły się również głosy niepokoju, że pochwały tego projektu mogą w polskim świecie urbanistycznym wytworzyć „modę” na osiedla typu „Adamczewska — Wejchert”.

Jednocześnie pytano, jak mogło się stać, że to osiedle potrafiło się przecisnąć przez gęste sito przepisów, normatywów i uzyskać indywidualne, czytelne dla odbiorcy oblicze.

Na to ostatnie pytanie odpowiedział częściowo Zbysław Malicki pisząc o powszednim dniu architektury borykającej się z różnymi ciężarami leżącymi na barkach projektantów. Można więc wnioskować, że jeżeli jakieś miasto czy osiedle jest nie typowe i ciekawsze od szablonych rozwiązań, znaczy to, że kolektorem projektujący potrafił lepiej od innych zespołów utrzymać to obciążenie trudnością dnia powszedniego, wydobywając z dostępnych elementów tworzywa urbanistycznego i architektonicznego walory i możliwości, które po prostu nie zawsze były dostrzegane.

Wydaje się, że jako przedstawiciel Zespołu projektującego Nowe Miasto Tychy opowiadając o tym mieście i osiedlu B, mogę rzucić nieco światła na wiele zakątków krainy ZOR.

Na początku trochę o Nowym Mieście Tychy.

Położone 17 km na południe od Stalinogrodu powstaje na krańcu nieckiej węglowej jako miasto przeznaczone przede wszystkim dla górników zatrudnionych w kopalniach Wesoła II, Ziemowit i Łędziny.

Wstępne prace projektowe powierzone Głównemu Zespołowi Miastoprojektu Stalinogród. W bardzo krótkim czasie rozpoczęto budowę osiedla A, położonego na peryferiach przyszłego miasta i związanego mocno ze Starymi Tychami.

W tym też czasie powołano szereg zespołów do opracowania alternatyw generalnego planu miasta. Rozstrzygnięcie nastąpiło we wrześniu 1951 r., po czym pracę nad przygotowaniem planu do realizacji rozpoczął Zespół z Miastoprojekt ZOR pod kierunkiem architektów Adamczewskiej i Wejcherta.

Po pięciu miesiącach w marcu 1952 r. Prezydium Rządu zatwierdziło plan generalny miasta, a w kwietniu 1953 r. rozpoczęło realizację osiedla B, stanowiącego dzielnicę łączącą Stare i Nowe Miasto.

Wymieniam daty dla zilustrowania tempa pracy projektowej. Zasady planu generalnego miasta i jego kompozycja są bardzo proste; ponieważ około 30 tys. ludzi dziennie będzie jeździło z miasta do pracy, głównym punktem funkcjonalnym miasta będzie przystanek elektryfikowanej kolei, położony na linii średnicowej przechodzącej przez miasto w głębokim, bogato zadrzewionym wykopie.

Obok dworca, prostopadłe do linii kolejowej, przeprowadzona jest główna oś kompozycyjna miasta idąca od parku północnego do leśnego Parku Kultury i Wypoczynku na południu miasta nad jeziorem Paprociańskim.

Na osi tej, lub w pobliżu, znajduje się teatr, dworzec, Miejski Dom Kultury, Centralny Plac Uroczystości oraz położony na polanie leśnej widokowy stadion sportowy.

Na osi nanizano czworobok głównych ulic wewnętrznych łączących poszczególne dzielnice miasta.

Osiedle A, wznoszone w większości z typowych budynków, nie odbiegało, jak to stwierdzili liczni osiedlnicy, od reszty osiedli ZOR-owskich. Osiedle B zaczęliśmy budować zaledwie 10 miesięcy temu i dopiero dziś kształty jego zaczynają być czytelne. Brak jest jeszcze szeregu domów, małej architektury, tynków i zieleni.

Jakie są przyczyny, że osiedle to różni się od innych? Trzeba sobie zdać sprawę, jakim wpływem podlegały zazwyczaj rozwiązania urbanistyczne osiedli. Po pierwsze: sama nazwa „osiedle” mówiła o jego samoistności, bez powiązania z miastem czy krajobrazem. Powstawały „bramy” do osiedli, a od zewnątrz ustawione domy upodabniały się do murów z prześwitami.

Po drugie: stosowano często budynki typowe projektowane wyłącznie do ustawiania na płaszczyźnie, zmuszające urbanistów do zniekształcania rodzimego terenu i do sztucznego dostosowywania go do formy budynków przy pomocy niezrozumiałych skarp i nasypów. Po trzecie: „realistycznym” nazywało się (a i dziś jeszcze się nazywa) osiedle zakładane na planie geometrycznym, naszpikowanym szeregiem obowiązkowych osi kompozycyjnych, widocznych najczęściej na planie, ale niewidocznych w przestrzeni.

Takie komponowanie dwuwymiarowego rysunku planu, opartego na tradycjach barokowo-klasycystycznych, często obcych tradycjom planów naszych miast, sięgających niemal zawsze średniowiecza, powodowało rodzenie się w krajobrazie miejskim form zbyt sztywnych i pompacyjnych. Odczuwało się to bardziej na terenie małych osiedli, a mniej w dzielnicach wielkomiejskich.

Rozmawiałem na ten temat w roku ubiegłym z kolegami radzieckimi w Instytucie Urbanistyki i Architektury w Moskwie. O tendencji nadmiernej monumentalizacji architektury zespołów mieszkaniowych mówili: „Nie wszystkie domy muszą być ubrane w mundury galowe, większość powinna nosić po prostu marynarki”.

A Dawidowicz w „Planowaniu miast” (r. 1947 str. 339 wydania polskiego) pisał: „Rozwiązując w planie miasta zagadnienia plastyczne należy myśleć nie o „ozdobności planu” lecz o tworzeniu oblicza plastycznego miasta w rzeczywistości. Trzeba widzieć harmonijne zespoły architektoniczne miasta oczami mieszkańca: z chodników, ulic i placów, z przejść pomiędzy domami, ze skwerów lub okien mieszkań. Należy przestrzec przed schematycznością, zbytnią geometrycznością rozwiązań”.

Rozpoczynając pracę nad osiedlem B zespół projektowy odrzucił zasadę „osiedla” zamkniętego. Wiąca swój plan z istniejącym planem Starego Miasta — i, co było może najważniejsze, kształtował przestrzeń, a nie rysunek geometryczny planu. Jednocześnie wieloletnie studia nad kompozycją planów i układów

przestrzennych w miastach polskich oraz doświadczenia kierowników zespołów z prac nad szeregiem mniejszych miast pozwoliły na sięgnięcie do tradycji naszej rodzinnej urbanistyki.

Przeprowadzenie tak pojętych zasad nie było wcale łatwe. Od pierwszej chwili towarzyszyła powstawaniu projektu nieustanna walka: jej pierwszy akt to obrona przed koniecznością zastosowania obowiązujących budynków typowych takich, jakie powstawały od Białegostoku po Nowy Sącz i od Przemysła po Szczecin.

Projektanci wygrali tę walkę za cenę zobowiązania się do wykonania od stycznia do maja 1953 r. nowej indywidualnej dokumentacji dla budynków o kubaturze około 100 000 m³. Najmocniejszy nawet zespół projektowy nie mógłby podołać temu zadaniu; trzeba było opracować sekcje typowe specjalnie dla tego osiedla. Trzeba było wprowadzić nowe metody pracy, które dziś już nawet nie mają autorstwa, ale zastosowane były w Polsce — o ile mi wiadomo — po raz pierwszy właśnie dla osiedla B.

Olbrymi i zgodny wysiłek kolektywu pracowni architektonicznej i urbanistycznej pozwolił na wygranie tej pierwszej potyczki — dokumentacja w zasadzie została wykonana w terminie, aczkolwiek po nadmiernym wysiłku początkowego okresu nastąpiło usprawiedliwione odprężenie i „zawalliliśmy” szereg następnych terminów.

Drugim aktem historii była walka o plan urbanistyczny. Osiedle, położone na łagodnym stoku, (częściowo zabudowanym małymi domkami Starych Tych), rozciąga się wąskim stosunkowo pasmem pomiędzy Starym Miastem, a bazą budowlaną.

Na tym terenie powstał układ miękki bez wyraźnie zarysowanych osi kompozycyjnych. Ponadto, wbrew często spotykanym teoriom kształtowania bloków miejskich, przyjęto zasadę, że powstana ulice mieszkaniowe wyraźnie traktowane jako wnętrza urbanistyczne oraz, że nie będzie krętych i wątków drózek doprowadzających do wnętrza bloków. W ten sposób bloki są nieco mniejsze od rozwiązań stosowanych w wielkich miastach, ale podwójnie wnętrza blokowych stanowią prawdziwy teren wypoczynku i zieleni, nie naruszony przejazdami.

Wyrzucono także żłobki i przedszkółka z wnętrza blokowych, przewidując dla nich miejsca przy ulicach mieszkalnych.

Pierwsze starcie nastąpiło na Radzie Technicznej.

Projekt nie został zaakceptowany; zalecono opracowanie alternatywy o sztywniejszym, „realistycznym” układzie.

Ponowna Rada Techniczna to drugie starcie. Było ono tak burzliwe, że doprowadziło niemal do zerwania obrad bez powzięcia decyzji. Na tle stereotypowych rozwiązań plan osiedla B był czymś nowym i jeszcze w grudniu ubiegłego roku na konferencji poświęconej przeglądowi planów 14 miast jeden z urbanistów warszawskich atakował go niezwykle ostro jako wadliwy i niezrozumiały.

Nie wszystkie potyczki wygraliśmy, trzeba było poddać się zaleceniom żądającym zwiększenia wysokości budynków z trzech do czterech



Nowe Tychy. Fragment osiedla B (makieta)

rech kondygnacji we wschodniej części osiedla. Dziś można stwierdzić, że było to poważną przegraną; została bowiem zachwiana równowaga sylwetki osiedla.

Podczas projektowania najtrudniejsze było pokonanie tych obciążeń, o których tak trafnie pisze Zbysław Malicki. Żegluga między rafami obliczania wydajności, przeawansowywania projektów, brakiem godzin produkcyjnych na ich ukończenie, przerostami niezwykle wymagającej administracji towarzyszącej projektantowi — to prawdziwa udręka.

W pracach nad osiedlem B wiele, bardzo wiele czasu i energii poświęcono na przełamywanie bezwładnego oporu maszyny biura projektowego. Wygrywał w roku 1953 brałem udział w wycieczce grupy architektów polskich do ZSRR i tam zapoznałem się z warunkami pracy naszych radzieckich kolegów i organizacją biur projektowych. Potem również z zaskrośnią słuchaniem relacji kolegów o stosunkach w biurach projektowych NRD. Zaskrośnimy im warunków pracy i trudno zrozumieć, dlaczego nasze biura projektowe nie mogą naśladować gotowych i wypróbowanych wzorów radzieckich lub z Niemiec Demokratycznych.

W te wszystkie zmagania trzeba było włożyć wiele uporu i również wiele wiary w słuszność przyjętej metody pracy. Było to możliwe dzięki mocomu zespoleniu się kolektywu pracowników, przeważnie młodych, ale doświadczonych jako projektanci, absolwentów warszawskiego wydziału architektury. I tu trzeba powiedzieć, że jedną z podstaw tego zespolenia było przedłożenie układu: pedagogzy — studenci, w układ: generalni projektanci — współprojektanci. To chyba także jeden z przyczynków do dodatniej oceny pracy.

*

Czy słuszne są obawy, że zjawi się moda naśladowania tego typu osiedla?

Oczywiście mogą pojawić się tu i ówdzie próby naśladownictwa, ale moda nie może się rozszerzyć dlatego po prostu, że można naśladować MDM jako formę przestrzenną prostą i niezależną od warunków zewnętrznych, lecz nie można powtórzyć (bez przetwarzania) form powiązanych w sposób nierozzerwalny z istniejącym podłożem, zabudową i krajobrazem, przenosząc je w zmienione warunki topograficzne, odmienne otoczenie i inne położenie w stosunku do stron świata. Pewne zasady kompozycyjne mogą być natomiast zastosowane w innych osiedlach i to właśnie powinno podkreślić ich indywidualność, o ile zostaną prawidłowo zrozumiane.

Zasadami tymi są: dialektyczne rozważenie wpływów i wymagań warunków istniejących, kształtowanie ulicy mieszkalnej jako wnętrza komponowanego na widoki dalekie i bliskie oraz szukanie takich akcentów architektonicznych jak wykuszów, portfenetrów, balkonów, lukarni dachowych już w stadiach projektu urbanistycznego. Dalsze zasady to jak najstaranniejsze rozważenie ustawienia poszczególnych budynków z wykorzystaniem dla wzbogacenia plastyki najmniejszych nierówności podłoża oraz nadanie indywidualnego obrazu temu terenowi przez odpowiednie opracowanie murów oporowych, schodów czy ogrodzeń. Te zasady kompozycyjne opierają się na znajomości prawideł kształtowania elementów urbanistycznych przy pomocy linii i płaszczyzn prowadzących wzrok, zatrzymujących go i kierujących ku nowym zespołom przestrzennym, wiążącym się w miasto.

Związać te fachowe terminy można określeniem, którego już użyłem poprzednio: trzeba plan miasta i osiedla kształtować nie jako rysunek dwuwymiarowy podziwiany z lotu ptaka, ale jako kompozycję przestrzenną, oglądaną i przeżywaną codziennie przez odbiorców chodzących po prostu po ziemi. Zasady te, jak widać, nie są żadną re-

welacją: uczymy ich od wielu lat na Politechnice — dotarli jednak widocznie nie do wszystkich warsztatów produkcyjnych.

Zastosowanie tych zasad pozwala na indywidualne potraktowanie każdego osiedla, gdyż rozwiązania problemów kompozycyjnych w określonej sytuacji może być kilka. Oczywiście narodzi się rozwiązanie lepsze i gorsze, zależnie od zdolności plastycznych i wyobraźni przestrzennej autorów, ale wydaje się, że nawet najgorsze winny być lepsze od dotychczasowych typowych osiedli zorowskich.

Można by przypuścić, że pisząc tak wiele o trudnościach projektowania dostrzegam tylko jego ciemne strony. Nie, tak nie jest. Gdyby nie niezwykła, olbrzymia, porywająca tematyka zadania, gdyby nie niezachwiane przekonanie zespołu o znaczeniu naszej pracy i jej potrzebie, gdyby nie radość ślad płynąca, nie zdolalibyśmy udźwignąć wielu kłopotów i trosk.

Nasze doświadczenia nie są wolne od błędów: popełniliśmy ich cały szereg i w projektowaniu, i w realizacji, gdyż od planów na papierze do zamieszkałego osiedla daleka droga.

Na drodze tej działają trzy siły kierujące naszym budownictwem — INWESTOR, WYKONAWCA I PROJEKTANT.

Dla wszystkich, którzy przewędrowali krainę ZOR lub nawet choćby tylko zainteresowali się artykułami na ten temat, zaczyna chyba stawać się jasne, że od układu tych sił zależy wygląd naszych osiedli — zwłaszcza naszych nowych osiedli, wznoszonych bez oparcia o dzielnice zabytkowe. Tam projektanci otrzymują potężną broń: tradycyjny nastrój, do którego można naawiązać, a poza tym środki finansowe, ulgi w stosowaniu normatywów, i — do współpracy — najlepszych plastyków, rzemieślników i wykonawców.

Ale w nowych miastach i osiedlach jest jeszcze zazwyczaj inaczej.

ADAM PAWLIKOWSKI

„P O Ś C I G “

Film sensoryjny jest gatunkiem sztuki, w którym o ogólnej wiarygodności niezwykle perypetii decyduje szczegółowe prawdopodobieństwo sytuacji, środowiska i typów ludzkich. Stąd żadnej umowności: obiektywna relacja faktów, rezygnująca z aluzji na rzecz informacji. Przy tym, w pełni obowiązującą tajemnicę autorskiego stanowiska. Widz sam, bez dodatkowych sugestii realizatorskich, musi rozeznąć się w konflikcie, ustalić swój stosunek do bohaterów i wreszcie wyciągnąć wnioski ostateczne. Wiedza scenarzysty i reżysera nie może wyprzedzać wiedzy publiczności. Dlatego w filmie sensoryjnym moment nieoczekiwanego zaskoczenia wydaje się być odpowiedniejszą sposobem narracji od sumy uzasadnionych spodziewań.

Opowieść sensoryjna może przebiegać bądź w trybie komediowym, bądź dramatycznym. W wypadku pierwszym o rodzaju autorskiego widzenia, o doborze zdarzeń i gatunku point decyduje motyw humoru, w wypadku drugim — motyw tragizmu, patosu czy heroizmu. Sensoryjność neutralna psychologicznie może zdarzyć się jedynie w cyрку.

Przeciw tym naturalnym właściwościom gatunku sensoryjnego wystąpił autorowie „Pościgu”. Jeśli mogli liczyć na sukces swego filmu, to tylko na zgola szalonym oczekiwaniu, że widz zaaprobuje proponowaną przez nich nierzalną

umowność sytuacyjną — absurdalną konwencję schematu. „Pościg” nie jest ani komedią sensoryjną, ani sensoryjnym dramatem; co więcej, na skutek treściowych i formalnych nieporozumień, tkwiących w



samych założeniach filmu, nie mógł nimi zostać.

W ekspozycji środowiska, sposobie wprowadzania bohatera, dążąc do syntetycznej lapidarności określić właściwej gatunkowi sensoryjnemu, realizatorzy dali wyraz całkowitej prymitywizacji, nie po-

zbawiony zresztą swoistych dzi-

W życiu przedstawione w „Pościgu” jest tuworem zagadkowym, fenomenem bez precedensu w rzeczywistości. Równie niedocieczone są po-

Oto Państwowa Stadnina Ogierów. Opodal rozciąga się wieś w formie tezy: w czółowie filmu, na wzór umowności szopki politycznej, jedną z postaci wiejskich nazwano po prostu: chłop-panikarz. Tak po myślanu wieś stanowi pretekst do wykazania społecznych błogostwienstw płynących z faktu sąsiedztwa stadniny. Chłpów nurtuje nieantagonistyczny fraszunek: przydałby się konie do pomocy. Wójt zwraca się do dyrektora, po chwili wzajemnej adoracji ustalają skuteczne hasło ideologiczne — wiejski kłopot pierzcha.

Koniuszy Kucharski był odmiennego niż dyrektor i wójt zdania; od tej chwili wiadomo, że stanie się generalnym sprawcą zła. Podobnemu zdemaskowaniu na zasadzie dialogowych oświadczeń, nie zaś wyniku fabularnych zdarzeń, ulegają dalsze postacie negatywne.

A więc film sepsacyjny wbrew intencjom toczy się niejako a rebours. Zbrodniarze są znani od początku. Widzowi nie pozostaje nic ponad obojętne przysłuchiwanie się, do czego uciekną się realizatorzy, by przez resztę filmowego czasu trzymać pozostałe postacie w niewiedzy o tym, o czym już doskonale wiedzą widzowie.

wych alejach. W imię humanistycznej równowagi miewają troski, ale są to troski prowizoryczne, na polu fikcyjne. Bohaterowie natychmiast odzyskują właściwy sobie nastrój pogody i pełnej autosatyfakcji.

Oto Państwowa Stadnina Ogierów. Opodal rozciąga się wieś w formie tezy: w czółowie filmu, na wzór umowności szopki politycznej, jedną z postaci wiejskich nazwano po prostu: chłop-panikarz. Tak po myślanu wieś stanowi pretekst do wykazania społecznych błogostwienstw płynących z faktu sąsiedztwa stadniny. Chłpów nurtuje nieantagonistyczny fraszunek: przydałby się konie do pomocy. Wójt zwraca się do dyrektora, po chwili wzajemnej adoracji ustalają skuteczne hasło ideologiczne — wiejski kłopot pierzcha.

Koniuszy Kucharski był odmiennego niż dyrektor i wójt zdania; od tej chwili wiadomo, że stanie się generalnym sprawcą zła. Podobnemu zdemaskowaniu na zasadzie dialogowych oświadczeń, nie zaś wyniku fabularnych zdarzeń, ulegają dalsze postacie negatywne.

A więc film sepsacyjny wbrew intencjom toczy się niejako a rebours. Zbrodniarze są znani od początku. Widzowi nie pozostaje nic ponad obojętne przysłuchiwanie się, do czego uciekną się realizatorzy, by przez resztę filmowego czasu trzymać pozostałe postacie w niewiedzy o tym, o czym już doskonale wiedzą widzowie.

Następuje seria zdarzeń, których niesposób traktować poważnie. Nawet prawa fizyki starają się same w sobie ulec odkształceniu, by służyć w rezultacie nadzrodnej idei sprawiedliwości. W decydującym dla logiki treściowej momencie śpiącą dziewczynę budzi łoskot padającego na słone szkiełka od zegarka.

Osobna sprawa to wątek koni. Ogiery zostały użyte w filmie z dwóch powodów. To mają służyć epatowaniu, przydając fabule atrakcyjny ornament, to znów traktowane są jako „towar” sabotażowych zabiegów. W jednym i w drugim wypadku pozostają niestety rekwizytem drugoplanowym.

Prawdziwie irytujący jest wy czyn tytułowy. Kilkunastu konnych, wspomaganych samochodem, ściga samotnego zbrodniarza. Gdyby scena wypadła w realizacji efektowniej, gdyby reżyserowi udało się zaangażować w niej emocje widza, publiczność byłaby zapewne skłonna wiele wybaczyć sabotażystom. Nieszczęsny agent zdołał jednak ująć, by zaraz potem dać ostateczne dowody swej nieprawdopodobnej głupoty i samobójczej lekkośności, tym samym upodabniając się do pozostałych spiskowców.

„Pościg” nie jest dziełem artystycznym, co w sposób paradoksalny stanowi jego jedyną zaletę. Z wielu powodów nie byłoby korzystnej gdyby przedstawiony w nim schemat czujności został poparty i uprawomocniony autoryte-

tem sztuki. Czujność socjalistyczna nie może bowiem zależeć od czystej gry przypadków, nie może opierać się na postulatcie niewydolności umysłowej sabotażystów, przeciustawionej genialnym — w guście Sherlocka Holmesa — powiatowemu władcom bezpieczeństwa.

Film o czujności powinien wyjaśnić sens zdarzeń od strony realnych przyczyn i motywów wrogiego postępowania. Winien dać wyczerpującą odpowiedź nie tylko na pytanie, kto jest przeciwnikiem, ale dlaczego nim został. Musi być więc filmem, w którym fabularna perypetia zyska swe pokrycie w analizie psychologicznej. A więc musi być filmem, w którym procedura twórcza przebiegnie niejako odwrotnie niż w wypadku „Pościgu”.

Ostateczna ocena „Pościgu” wyrazi się w dezaprobatie tyłuż całkowitej, co złagodzonej: przewaga i skuteczność argumentów recenzenckich nad racjami realizatorskimi mogłaby okazać się nieskończona. Być również może, że „Pościg” w ogóle nie zasługuje na zarzut błędu artystycznego czy ideowej nieporadności. Bowiem twórca filmu nie ujawnił w nim dostatecznie ani swego stanowiska ideowego, ani nie okazali się być w pełni artystami. Stąd sprawę „Pościgu” należy przekazać pod rozprawę wewnętrznąj administracji CUK-u, co w historii naszej kinematografii nie stanie się po raz pierwszy.

Z DYSKUSJI WYBORCZEJ

ZAMIERZENIA KANDYDATÓW

WOJEWÓDZTWO
STALINOGRODZKIE

Okres przedwyborczy wywołał nową falę dyskusji o życiu kulturalnym województwa stalinogrodzkiego — szkoda tylko, że skupiła się ona wyłącznie na zebraniach związków twórczych i pracowników kultury i sztuki. Daremnie szukałem śladów wystąpień na tematy kulturalne w zakładach pracy — tamtejsze dyskusje ograniczyły się dość ściśle do spraw zawodowych i gospodarki ogólnej województwa.

Jednak to, o czym mówiono na zebraniach działaczy kulturalnych i twórców, dostarcza niezwykle bogatego materiału do rozważań — i stanowi podstawę do wytyczenia kierunku naszej dalszej pracy.

Rzecz charakterystyczna — to wzrost wymagań w stosunku do samych siebie i do placówek kulturalnych województwa. Po raz pierwszy otwarcie i ostro — w takiej skali jak obecnie — omawiano konieczność podniesienia poziomu artystycznego — zwłaszcza w naszych trzech teatrach — czemu na przeszkodzie stały zbyt wygórowane plany, brak mieszkań dla aktorów, jeszcze ciągle brak odpowiedniej opieki, o którą przecież nie tak trudno.

Program wyborczy województwa dość ogólnikowo nakreślił nasze zamierzenia w dziedzinie kultury: budowa opery w Stalinogrodzie, centralnej biblioteki i stałego cyrku, nowe domy kultury — prawie w każdym powiecie. Właściwie to wszystko.

Znając jednak nasz teren, znając potrzeby ludzi pracy i ambicje naszych działaczy i naszych twórców — wiem dobrze, że w najbliższych kilku latach zrobimy o wiele więcej. W poprzednich wyborach nie planowano wydawania kwartalnika, ani budowy Teatru Satyry, ani budowy wielkiego studia WOSPR, ani tygodnika „Panorama”, ani uruchomienia wydawnictwa „Śląsk”. A jednak to wszystko zrobiono. Życie z roku na rok dyktuje pewne konieczności — i trzeba je realizować.

Jest nadzieja, że i tym razem program wyborczy będzie „przekro-

czony z nadwyżką” — a nadzieja ta ma podstawy dość solidne. Mianowicie takie, że do rad narodowych, raczej na kandydatów do rad narodowych — wybrano kilku wybitnych twórców i działaczy kulturalnych naszego województwa. Już oni nie pokpią sprawy, bądźmy o to spokojni. I na wszelki wypadek zanotujmy — by kiedyś im o tym przypomnieć — jak postanawiają pracować w radach narodowych, czego pragną i o co będą walczyć.

Wilhelm Szewczyk



autor „Poematu górniczego”, „Kieszczy”, „Dramaturgii niemieckiej” — i wielu innych książek, których wymienienie zajęłoby mi pół strony maszynopisu — swoje wyznania na wspomniany temat zaczyna od... palanta.

Mało ludzi wie o tym, że palant jest osobliwością regionalną Śląska, bardzo popularną w naszych LZS — i należy do śląskich tradycji ludowego sportu. Szewczyk uważa —

z czym nie każdy się zgodzi — że zespoły LZS uprawiające ten sport prowadzą z tej racji (!) ożywioną działalność kulturalną... Jeśli rozmówca zaoponuje — Szewczyk sygnalizuje przykładami, sięgając zwłaszcza do powiatu rybnickiego: oto np. LZS Skarbieńsko, niezwykliczo mistrz Polski w palancie od 1928 roku (?) — ma znakomity zespół dramatyczny, który na ostatnim festiwalu zdobył nagrodę, wystawiając jednoaktówkę Baranowicza „Kołysz się jodły”.

Wskrzeszenie tradycji palanta — sportu popularnego również wśród górników — to jedno z zamierzeń Szewczyka. Jeśli mowa o sprawach kultury — to Szewczyk jest gorącym zwolennikiem powołania Wojewódzkiej Rady Kultury — i uważa to w ogóle za warunek dobrej pracy Woj. RN.

Mówi: — taką Radę musi mieć województwo o czterech uniwersyteckich miastach. Trzeba jednak zarzucić praktykowany na ogół zwyczaj zapraszania do pracy w komisjach „przedstawicieli organizacji”. Przynależność musi być „miejscowa” — zapraszamy konkretnych ludzi z organizacji społecznych i politycznych, a nie organizacji.

Wilhelm Szewczyk uznawia również hasło, o którym ostatnio wspomniano i już nie powtarza się w naszych żądaniach: — W Stalinogrodzie musi istnieć obiecana nam już dawno placówka PAN. Instytut Historii Śląska we Wrocławiu powinien u nas mieć swoją placówkę — tym bardziej, że istnieje już u nas wydawnictwo. W Opolu powinna powstać placówka PAN zajmująca się prehistorią i etnografią.

Wilhelm Szewczyk kandyduje do Woj. RN. — na wniosek górników kopalni „Rymer”.

Pola Bukietyńska

— miła i uroczą artystka Opery Śląskiej w Bytomiu — ulubiony i popularny „sopran liryczny” naszego województwa — kandyduje do Woj. RN. Jej głos i jej uśmiech znają najmniejsze miejscowości Śląska i Zagłębia, bowiem Pola Bukietyńska pobliża chyba miejscowe rekordy w udziale w tzw. „koncertach masowych w terenie”.

Nie należy do „wygodnych artystów” — nie przerażają jej dalekie

i trudne dojazdy, chłapa, błoto i śnieg. A jeśli nie jeździ, to występuje w Operze lub w Polskim Radiu — co sprawia, że jej głos prawie nigdy nie próżnuje.

Jej „sopran liryczny” nieco zdradzał ze wzruszenia, gdy wybrano ją kandydatką. Takiej tremy jeszcze nie przeżywała. Pocięta się jednak, że w radzie będą inni twórcy — i pomogą jej. Zapewne wyborcy również nie opuszczą P. Bukietyńskiej i zasilą tak zwany „aktyw”, który ze względu na ostrość naszych ataków i śmiałość żądań, powinien nosić nazwę „rozrabiaczy pozytywnych”.

Czym zajmie się w radzie? Pola Bukietyńska, jako kandydat Opery Śląskiej, postanawia przypilnować szybkiego przystąpienia do budowy opery w Stalinogrodzie. Gniewa ją, że tylu ludzi nie może dostać się na przedstawienie Opery, ponieważ zazwyczaj brak biletów.

— „Nasze przedstawienia — oświadczyła — musi oglądać za każdym razem co najmniej dwa tysiące ludzi, a w dotychczasowym ciastym pomieszczeniu w gmachu bytomskiej opery mieściło się tylko sześciuset widzów... Przyszanie mi chyba rację”.

Przynajmniej. W nowej operze Pola Bukietyńska i jej koledzy zaśpiewają raz — a korzyść taka, jakby trzy razy śpiewali.

Marcin Szeliągiewicz

powiedział:

— Pragnąłbym bardzo jako przyszły radny w miarę moich możliwości przyczynić się do dalszego podniesienia poziomu naszego życia kulturalnego.

— A konkretnie?

O, tych konkretności jest wiele: na terenie województwa zbudować i urządzić nowe sale koncertowe, tak, by Filharmonia Śląska mogła powiększyć zasięg swoich wyjazdów. Musimy wnieść nowy gmach dla Wyższej Szkoły Muzycznej, przebudować gmach operetki i ciasną estradę Filharmonii. Ale to jeszcze mało, bowiem Marcin Szeliągiewicz, już od trzydziestu lat pracujący dla Śląska — dobrze rozumie, że odbiorców sztuki trzeba przygotować, wychować. Tu rodzi się nowy postulat: otoczyć dobrą opieką świetlic, podjąć z rozmachem wielką

akcję budowy świetlic na wsi, organizować koncerty umuzykalniające.

Marcin Szeliągiewicz, muzyk i twórczy pedagog, jest dyrektorem Państwowego Liceum Muzycznego w Stalinogrodzie, przodującym tego typu uczelni w Polsce, posiadającej wszystkie klasy instrumentalne. Uczniowie tej szkoły zdobyli wiele nagród i odznaczeń w Polsce, a także w Rumunii, w NRD, na Węgrzech — i w ogóle, że się tak wyrażę w skali światowej.

Dlaczego wybrano na kandydata do Woj. RN właśnie Marcina Szeliągiewicza?

Bo umie pracować, nie obawia się pracy i pracuje jak mało kto. Gdzie? Po pierwsze w swojej szkole, która dzięki jego pomocy posiada jedyną w Polsce orkiestrę symfoniczną, siedemdziesięciuosobową oraz chór, który jest jednym z pierwszych chórów młodzieżowych w Polsce.

Zajmuje się pracą naukową: jest przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego.

Zajmuje się pracą polityczną: jest członkiem Wojewódzkiego Komitetu Frontu Narodowego.

Zajmuje się pracą społeczną: — jest członkiem Wojewódzkiego Komitetu Frontu Narodowego.

Zajmuje się upowszechnieniem kultury: pomaga wydawnictwu amatorskiemu i jest współtwórcą uczelni, która kształci nauczycieli nie odrywając ich od pracy zawodowej.

NOWE PERSPEKTYWY

Otwierają się nowe perspektywy dla rozwoju naszego życia kulturalnego. Nasi radni będą zapewne nieustępliwi wobec biurokratów i wobec nierozsądnych posunięć ludzi lekceważących nasze potrzeby kulturalne. Ostatnie dwa lata były dla nas wielką szkołą walki o słuszną politykę kulturalną w województwie stalinogrodzkim. Nauka nie pójdzie w las — i uczynimy wszystko, by lata, które nadchodzą, przyniosły jeszcze obfitszy urodzaj.

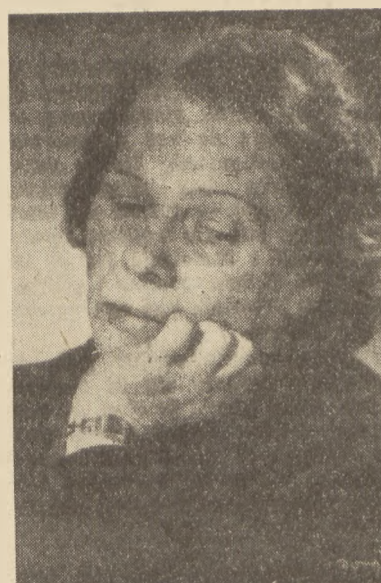
Po tylu doświadczeniach i tylu osiągnięciach nadszedł czas, by ruszyć naprzód. Na nice tarce ochronne, którym zasłaniają się pewni ludzie, że „to nie ten etap”. Etap zawsze jest jeden i nigdy nie

KANDYDACI NA RADNYCH

Portret pewnej nauczycielki

Jest młoda, bardzo szczupła. Ma miłą, wyrażającą twarz o dużych, poważnych oczach. Droga jej życia nie była łatwa. Okupacja, potem samotne życie w Warszawie, które niepowstrzymanym pędem, ale z trudem dźwiga się z gruzów. Irena pragnęła się kształcić, ale lata wojny opóźniły jej studia. Z niemym wysiłkiem przedzierała się przez uniwersytet, nie z braku zdolności — przeciwnie, zaliczano ją do bardzo zdolnych studentek — ale musiała zarobić na życie, pomóc matce. Otrzymała absolutorium na uniwersytecie i nakaz pracy do szkolnictwa. Nie zamierzała tu n'c koloryzować, więc powiem wprost, że nie była tym zachwycona. Woląaby pracę naukową.

Pola Gojawiczyńska



Autorka „Dziewcząt z Nowolipiek” kandyduje na radną stołeczną rady narodowej. Fakt, że Pola Gojawiczyńska, której twórczość tak silnie związana jest z Warszawą, z życiem jej mieszkańców, zasiadzie wśród radnych naszego miasta, jest szczególnie radosny dla czytelników jej książek. A tych, jeśli pomnożyć przez trzy

Ale człowiek — zwłaszcza młody — często nie wie, co jest jego właściwym powołaniem i gdzie, w jakich warunkach, potrafi naprawdę rozwinąć skrzydła. Bo oto Irena Piekut ani się obejrzała, kiedy się okazało, że szkoła właśnie jest jakby stworzoną dla niej terenem pracy i że szkoły właśnie czeka ją droga w coraz to bujniejszą przyszłość.

Poznałam ją, nawiązawszy bliższe stosunki z pewną szkołą ogólnokształcącą, gdzie zbierałam materiały do powieści. Zainteresowała mnie ta młoda osoba, o której uczniowie twierdzili, że jest jedną z najlepszych nauczycielek w szkole, a młodzież zna się na tych sprawach. Zainteresowała mnie też z

pewnych względów przedostatnią klasą, a Irena Piekut była nie tylko nauczycielką chemii, ale i wychowawczynią w tej klasie.

Była to chyba najgorsza klasa w szkole. Rej w niej wodziła grupa uczniów wyraźnie reakcyjna, bardzo erotycznie nastrojona, lekceważąca sobie naukę szkolną i ze złośliwą radością przeszkadzająca w pracy zarówno nauczycielom, jak poważniejszym i piniejszym uczniom. Czy jest praca w klasie opalonej przez tego rodzaju młodzież, nie potrzebuję chyba tłumaczyć. Irena Piekut walczyła mężnie o poziom klasy, ale przeżywała też i chwile zniechęcenia, czuła się niezręcznie bezradna. Pracowała w szkole bardzo wiele, ale chciała też za wszelką cenę zrobić magisterium na uniwersytecie — pracowała więc nocami, kosztem snu, rozrywkę, wypoczynku. W dodatku nie miała mieszkania. „Mieszkała”, jeżeli to tak można nazwać, kątem w auli innej szkoły za estradą. Nikt przecież nie mówi, że nasze życie jest łatwe. Ważne jest jednak to, dokąd prowadzi i jakie perspektywy przed człowiekiem otwiera.

Irena Piekut zdała magisterium doskonale. Ale największym jej zwycięstwem okazała się właśnie owa X klasa, o której wspominałam. Rozegrała się tam dramatyczna walka, w najszlachetniejszym sensie tego słowa o poziom, o przyszłość uczącej się w niej młodzieży. Irena Piekut sprzymierzyła się z grupą najwartościowszych uczniów skupionych w ZMP. Z pomocą jednej z matek rozpoczęła ratować wspólnie najbardziej zagrożonych, doprowadziła razem wielką robotę wychowawczą, ideologiczną, organizacyjną. Praca ta była szczególnie ciężka nie tylko ze względu na młodzież. Na czele szkoły stał człowiek nie dorastający do swego zadania, szczególnie przykry i nie rozumujący prawdziwej pracy wychowawczej zastępujący tę pracę głośniejszymi brzmieniami frazesem. Irena Piekut stanęła więc do walki o nową, socjalistyczną szkołę na dwa fronty i zapewniam was, bo wdziałam to z bliska, że walka ta była bardzo ciężka, tak ciężka, że duże, poważne oczy nieraz napełniały się łzami, a szczerze ramiona zdawało się, nie udźwignąć

uznawaliśmy innego: ludzie pragną rzetelnej sztuki przekazywanej im przez rzetelnych artystów. Więc stwórzmy dalsze możliwości by taka sztuka powstała i żeby nie uciekali z naszego terenu utalentowani twórcy.

Tu aż się prosi, by przypomnieć najpilniejszą sprawę województwa — sprawę Teatru Śląskiego. Teatrowi znowu grozi, że pozostanie nadal objazdową fabryką sztuk. Lecz niech się nikt nie łudzi — o tym mówił już inny kandydat do Woj. RN, Gustaw Holoubek — że dopuścimy do tego, niech na to nikt nie liczy. W dziesiątym roku istnienia naszej władzy artyści wiedzą, czego pragnie naród i wiedzą, do czego są powołani. Praca w fabryce sztuk aż nadto obrzydliła im ich zawód i z fabryki będą uciekać — jeśli to uczynią, będą mieli rację. Istnienie na Śląsku „reprezentacyjnego” Teatru, walczącego o wysoki poziom artystyczny, a nie o wykonanie nierealnego, biurokratycznie wykonanego „planu” — oto jeden z punktów naszego programu wyborczego, programu wyborców, którzy piątego grudnia pojdą do urn.

Skąd się bierze w okresie przedwyborczym tak wielka ilość głosów wołających o wielką sztukę?

Odpowiedź jest zdumiewająco prosta: ludzie mądrzej, kształcą się, czytają. Dziesięciolecie przyniosło nam, mieszkańcom województwa, dziesięć nieistniejących tu nigdy wyższych zakładów naukowych — (jeszcze brak katedry humanistyki i historii — obywateli radni!) — zorganizowanie 1225 szkół podstawowych, 80 liceów ogólnokształcących i 15 pedagogicznych, 155 szkół dla pracujących (utworzonych dopiero po wojnie) — wybudowanie dwustu nowych budynków szkolnych. Tyle oświata — o kulturze była już mowa w jednym z poprzednich felietonów.

I właśnie to sprawia — że rosną nasze potrzeby i nasze wymagania w życiu kulturalnym.

Nie ma wyjścia, musimy je zaspokoić.

ANDRZEJ WYDRZYŃSKI



ciężaru. Udźwignęły. Irena Piekut, mimo kruchej postaci, jest człowiekiem mocniejszym niżby się mogło zdawać, ostrym, zadziernym, kiedy potrzeba; łagodnym i pełnym czułości, kiedy może sobie na to pozwolić.

Klasa X najgorsza klasa w szkole, stała się najlepszą, dzięki wspólnym wysiłkom wychowawczyni, zesłane i matek. Bierna część klasy zmieniła się do niepoznania, poszła za wartościową, zetempowaną grupą. Grupa ujemna rozpadła się, wpływ jej zniknął, większość należących do niej uczniów przeżyła zresztą głęboką przemianę — stała się wartościowymi ludźmi. Antypatyczny, nie godny swego stanowiska zwierzchnik, przeniesiony został na odpowiedniejsze dla siebie stanowisko i oto właśnie ona, Irena Piekut, została wicedyrektorką szkoły, w której dokonała tak piękną pracę. Otrzymała ładne mieszkanie, a wdzięczni uczniowie pomagali jej przy radosnej przeprowadce.

Wreszcie spotkał ją zaszczyt niemający, zwłaszcza jeżeli się zwążył młody wiek. Wynisnęła została jej kandydatura do Rady Narodowej. Nie witałmy, że zostanie radną. Sprawy naszego szkolnictwa, tak olbrzymio rozbudowanego, nastroczają mnóstwo trudnych zagadnień. Dobrze, żeby pracowała nad nimi ludzie pełni zapachu, siły, ideów, zadziorni i stanowczy, kiedy trzeba łagodni i serdeczni, właśnie tacy, jak Irena Piekut.

Irena Krzywicka

list z wybrzeża ŻOŁNIERZE BEZ BRONI

Mniej więcej 200 lat temu gdańszczanin Teodor Gralath w mowie wygłoszonej podczas uroczystości 200-lecia gdańskiego Gimnazjum Akademickiego powiedział: „Wyobraź sobie żołnierza bez broni, rzemieślnika bez narzędzi, kowala bez kowadła i młota. Tak jak robotnik nie może być ich pozbawiony, tak i ten, co podjął z obozem muz, nie zżdziela niczego bez książek”.

Wiemy doskonale, że obecnie można by tę rolę książek w życiu znacznie rozszerzyć. Literatura bowiem nasza podobnie jak i sztuka nie tylko odbija życie, ale również kształtuje i pomaga ludziom do rozwiązywania trudnych nieraz problemów. Świadczy o tym liczne przykłady, których nie brak i na naszym terenie.

Szeroki zasięg i wielki wpływ literatury i sztuki na życie nakładają oczywiście na twórców i działaczy kulturalnych tym większe obowiązki. Spróbujmy przekonać się, o ile z tych obowiązków wywiązuje się pisarz na naszym terenie w ciągu ostatnich 10-lecia.

Niewątpliwie mógłbym tu wyliczyć szereg pozycji, którymi literatura gdańska starała się zmanifestować swój udział w dziele budowy kultury na Wybrzeżu. W ciągu 10-lecia ukazały się tomiki wierszy Fiszera, Fleszarowej, Szymańskiego, powieści Bądkowskiego, Przewłockiej, Łebkowskiego, Jarosławskiego, tomów opowiadań Zydlera, Szremowicza, Chylińskiej. Są w naszym dorobku trzy wystawione sztuki sceniczne, są tomy reportaży. Tematyka wszystkich niemal tych prac wiązała się ściśle z naszym regionem, z jego przeszłością lub aktualnymi problemami. Pozytywnie było jednak mało, jeśli porównać je z bogactwem problematyki naszego, jakże specyficznego województwa.

Czym wytłumaczyć ten stan rzeczy?

Niech mi tu będzie wolno nawiązać do cytowanych na wstępie mego artykułu słów Teodora Gralatha. Tak jak żołnierzowi broń, a rzemieślnikowi narzędzie, tak li-

teratom potrzebna jest trybuna publicystyczna. Były nią w swoim czasie „Wiatr od morza” ukazujący się w Gdyni, szczeciński „Tygodnik Wybrzeża” i bydgoska „Arkona”. Były nią również gdańskie „Wydawnictwa Morskie”. Niestety żyłot tych placówek, które przyczyniły się w znacznej mierze do ożywienia życia kulturalnego na Wybrzeżu, był krótki, a likwidacja ich pociągnęła za sobą odpływ wielu twórców z naszego środowiska.

Pisma centralne, które tematykę „wybrzeżową” uważają za peryferyjną i bardzo rzadko udzielają na swych łamach gościnny pisarzom z naszego terenu, nie mogą w żadnym wypadku zastąpić w pełni periodyki, poświęconego sprawom kultury Polski, północnej. Również kontakt z wydawnictwami warszawskimi jest bardzo utrudniony. Dlatego niezmiernie ważną sprawą jest dla nas, twórców związanych z Wybrzeżem, powołanie do życia czasopisma kulturalnego, poświęconego specyficznej problematyce naszego terenu, oraz co najmniej regionalnego oddziału któregoś z centralnych wydawnictw, poświęconego literaturze marynistycznej.

Może się to przyczynić do pełnego rozwoju życia kulturalnego na Wybrzeżu. Bo przecież wiedział już cytowany mówca sprzed dwóch wieków, że pisarzem nie wystarcza gęsie pióro i papier. W swym kontakcie z czytelnikami muszą mieć pośredników. Dawniej byli nimi „kupcy” — prywatni wydawcy, dziś rolę tę przejęło państwo. Z tą zmianą jakże aktualną są i dziś słowa Teodora Gralatha:

„Skoro więc autor przekłada oczom uczonych pismo wypracowane w ciężkim trudzie i bezsennych nocach i dzieli się z innymi znalezionymi prawdami, to wtedy dopiero trzeba mu wezwać pomocy kupców, by to co tak znakomicie utworzył, nie przepało w mocy zapomnienia i inni tego pozbawieni nie zostali.”

FRANCISZEK FENIKOWSKI

PRZEGLĄD KULTURALNY, Tygodnik Kulturalno-Społeczny

Redaguje Zespół. Adres Redakcji: Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 21/23, Trebuckiej. Redaktor naczelny: tel. 6 91-26. Zastępca: tel. 6 91-23. Sekretarz Redakcji: 6 91-23. Sekretariat: 6 62-51. Wewnętrzny: 231. Dział: tel. 6 72-51, 6 62-51. Adres administracji: ul. Wiejska 12 tel. 8-24-11. Wydaje Biblioteczna Spółdzielnia Wydawcza „Prasa” Kolportaż PPK „Ruch”. Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12 tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4,60 kwartalnie zł 13,80 półrocznie zł 27,60 rocznie zł 55,20. Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejskie. Reklamów nie zamawiających Redakcja nie zwraca. Zakłady Druk. i Włókniarskie RSW „Prasa”, Warszawa, Marszałkowska 31A. Informacji w sprawie prenumeraty wpłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmują Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

5-B-20608



A. P. Czechow 1887

To, co proponuję uwadze czytelników, nie jest wyborem krytyczno-literackich sądów o Czechowie, tylko garścią wspomnień. Kreślących jego żywą sylwetkę.

Każdy chyba, gdy pokocha dzieło wielkiego artysty przeszłości, pragnie wiedzieć, jakim był w życiu. Pod tym zaś względem nie nie zastąpi autentycznych dokumentów epoki. Dlatego sięgnęłam po świadectwa ludzi, którzy znali Czechowa osobiste, żeby otworzyć kilka chociażby rysów pisarza, który był nie tylko wielkiej miary artystą, lecz także wielkiej miary człowiekiem.

„Dobrze jest wspominać o takim człowieku — powiedział o nim Gorki — od razu odzyskuje się otuchę i życie nabiera jasnego sensu”. Siowa te powtarza z przekonaniem ten, kto poznał bliżej osobowość Czechowa — niezwykle swobodną, subtelna, szlachetną.

Nie szukając tak zwanych „rodzynków”, starałam się o obfite materiały pamiętnikarskie, wydobycie te rysy Czechowa — człowieka, którym w jego twórczości odpowiadają cechy Czechow-pisarza.

Znakomity pisarz Włodzimierz Korolko wspomina:

„W ujęciu rysów Czechowa, mimo że była to bez wątpienia twarz intelektualisty, coś przypominało prostodusznego wiejskiego chłopaka. I właśnie to było szczególnie ujmujące. Nawet w oczach jego — niebieskich, pełnych światła, głębokich uderzało połączenie intensywności myśli z dziecinia — niemal beczkowatą prostotą. Prosta w ruchach, obejsz i mówię była cechą dominującą w całej jego postaci, podobnie jak w tym, co pisał”.

Prostotę Czechowa notują badacze wszyscy, którzy poznali go chociażby przełożenie. Oczywiście, była to prostota wykluczająca wszelkie prostactwo, prymitywizm, pizynę. Prosta nieodłączna od subtelności i dyskrekcji, od bardzo wysokiej kultury uczuć.

Umiłowanie prostoty wyrażało się we wszystkim, co robił, co lubił i nawet — w tym, czego nie lubił. Na przykład, nie lubił nadmiaru, nieszczerości i poz. Nie znosił gromkich słów i patosu. Unikał sytuacji sztucznych lub dwuznacznych. Nienawidził przesady. Stosował, nie tylko w swej twórczości, ale rów-

nież w życiu osobistym regule: „lepiej niedopowiedzieć, niż powiedzieć za dużo”. U tym swiadczy najdobitniej jego listy miłosne, listy pisane z taką rezerwą, na której nie każde ciepłe słowo nabiera skondensowanej wymowy, o jakiej się nie śniło wylewnym romantykom.

Occa mu była chęć zdobywania tak zwanych „laurow pisarskich”. Przeciwnie: sława, która nawiedziła go z pewnym opóźnieniem, ale za to od razu bardzo szumnie, zamiast radości wzbu- dziła w nim jęk i niedowierzanie. Na progu trzydziestego roku życia często pisał o tym w listach do przyjaciół:

„Nie podoba mi się, że mam powodzenie”. „Jeżeli mam mówić szczerze, jeszcze nie rozpocząłem mojej działalności literackiej, choć otrzymałem nagrodę Akademii”. „Wszystko, co dotąd pisałem, nic nie warte w porównaniu z tym, co chciałbym napisać”. „Może za wcześnie utyskiwać, ale nigdy nie za wcześnie zapytać siebie: czy rolę rzecz pozycylną, czy też nieporęczną? Krytyka milczy, publiczność prawdy nie powie, własne zaś wyczuć mówi, że zajmuję się blachostkami”.

„Mam za sobą pudy zapisanego papieru, mam nagrodę i żywot szczęścia — a z tym wszystkim nie mam ani jednej linijki, która by w moich oczach posiadała prawdziwą wartość literacką. Wiele było terminowych zajęć, lecz ani jednej minuty poważnej pracy... Pragnęłbym zaszyć się gdzieś w kącie na jakie pięć lat, żeby poświęcić się mojej, poważnej pracy. Muszę się uczyć, studiować wszystko od początku, bo jako literat jestem kompletnym ignorantem...”

Miał tu na myśli, oczywiście, nie tyle studiowanie dobrych czy złych wzorów w literaturze, ile w pierwszym rzędzie — studiowanie samego życia, wystrzeżenie spojrzenia pisarskiego, szukanie własnych sposobów przekazywania innym swojej wizji rzeczywistości.

Znany pisarz Kuprin twierdzi, że Czechow „zawsze i wszędzie, we wszystkim widział materiał dla obserwacji”. „Jestem najbardziej przeświadczony, — pisał — że Czechow z jednakim zainteresowaniem wniknął w świat zewnętrzny i wewnętrzny, w świat materialny i duchowy, w świat literacki i literatem, z wybitnym działaczem zewnętrznym i podejrzany młotem, z subiektem sklepowym i drobnym urzędnikiem na poczekaniu... Czyż nie dlatego opowiadał profesorowi, że myśli właśnie tak, jak stary profesor, wiozący zaś — właśnie tak, jak wiozący...”

Pełna obserwacja każdego napotkanego człowieka dawała Czechowowi cenny materiał. Budował z niego swoje postaci, w których na pewien tył składały się rysy wielu poszczególnych osób.

W dziele Czechowa często pojawia się postać lekarza, co oczywiście nie jest przypadkiem. Przecież sam był lekarzem, dobrze wiedział, jaka to ciężka praca, jak wiele wymaga od człowieka serca, inteligencji, poczucia odpowiedzialności. Swojej praktyce lekarskiej

zawdzięczał bogate doświadczenie i znajomość ludzi różnych środowisk. W czasach studenckich, kiedy zarabiał na życie drukując humoreski, mawiał żartem, że ma żonę medycynę i Kochankę literaturę. Później sytuacja się odwróciła: porzuciwszy medycynę, żeby zająć się na dobre literaturą, nie mógł rozstać się całkowicie z byłą „małżonką” i od czasu do czasu zapraszał ją na literaturę. Kuprin utrzymuje, że „gdyby Czechow nie był tak cudownym pisarzem, z pewnością byłby doskonałym lekarzem”.

Przecież to samobójca, — pisał, — który od czasu do czasu zapraszał go na konsylium, cenili w nim nadzwyczaj wnikliwego i celnego diagnostę. Widział i słyszał z człowiekiem — w jego twarzy, w głosie, w ruchach — to, co wymykało się uwadze przeciętnego obserwatora...”

Tę myśl Kuprina potwierdza fakt przytoczony przez twórcę Teatru Artystycznego, Konstantego Stanisławskiego: „Anton Pawłowicz był wspaniałym fizjonomistą”.

Pewnego dnia wpadł do mnie bliski znajomy, człowiek jowialny, wesły, mający reputację hulaka. Antoni Pawłowicz nie brał udziału w naszej rozmowie, ale cały czas pilnie mi się przypatrywał. Kiedy znaliśmy wyszedł, Czechow zaga- nał mnie o niego i kilkakrotnie w ciągu wieczora do tego tematu powracał. Spytałem, czemu tak zainteresował się tym panem, i usłyszałem w odpowiedzi:

„Wtedy podobne skrajowanie wydało mi się zabawne. Ze zdumieniem przypomniałem sobie te słowa w parę lat później, kiedy człowiek ten rzeczywiście się otrul”.

Czechow przytykał prawie do końca życia, poki jego samego nie zmogła nieuleczalna choroba. Odmawiał, co prawda, ludziom zamożnym, którzy zwracali się do niego głównie ze snobizmem, żeby zachować receptę Czechowa jako autografu, ale systematycznie, mieszkając na wsi, leczył chłopów — oczywiście, bezpłatnie.

Literat Tieszow przytykała zabawną rozmowę z pewnym chłopem: „Siedzieliśmy obok siebie w wagonie trzeciej klasy i gadaliśmy po sąsiedzku. Dowiedziałem się, że chłop mieszka około stacji Kopanina, wspominałem, że mam w tył okolicach znajomego”.

— Kto to?

— Doktor Czechow.

— A... Antoni Pawłowicz... — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

— Kto będzie żył? — uśmiechnął się stary i jakby się ucieszył. Ale wtedy spojrzał i powiedział: Dziwne, dlaczego nie bierzesz — z czegoś będziesz żył? Mówię do niego: „Pomyśl o sobie: dokąd pójdziesz, jeżeli, uchwalać boże, straciłś posadę? Przecież to każdemu może się zdarzyć. Na handling się

Hepiedactwo jako takie i owakie

JERZY PUTRAMENT

Dlaczego ludzie chodzą na mecze piłkarskie? Przede wszystkim dlatego, że życzyliby jednej z dwóch drużyn zwycięstwa, ale nie są pewni, czy życzenie to się spełni. Ta niepewność co do losów ulubionej drużyny sprawia, że dziesiątki i setki tysięcy ludzi co niedzielę siedzą pod deszczem, w upale czy nawet na mrozie i z zapartym tchem śledzą losy małej gumowej kulki odkrytej skórą i zaciekle kopanej przez dwudziestu dwóch dryblasów.

Może ktoś ma w tym względzie wątpliwości? Może ktoś myśli, że co innego zwabia masę sportowców kibiców? Znaństwo techniki futbolowej? Namietność oglądania ruchliwych kompozycji osobowych w skoku do piłki? Może powody natury ideologicznej? Chęć podniesienia swego poziomu zmysłowego? Poczucie dyscypliny społecznej? Albo coś równie wzniosłego?

Jeśli ktoś ma wątpliwości w tym względzie — nie prostszego, jak sprawdzić to twierdzenie doświadczalnie. Zlikwidujcie stałe drużyny piłkarskie, uchwalcie zwłaszcza, że w meczu zwycięży nie ta, która więcej razy strzelił piłkę do bramki przeciwników, ale ta, która przeczyta przedtem więcej popularnych broszurek, wysiedzi na większej ilości polskich filmów albo zrobi parę podobnych bohaterkich wycieczek I policzcie ile widzów zwabia takie zawody*).

Może co setny, może co tysięczny widz piłkarskiego meczu przyszedł tam spragniony podziwiania techniki itp. waleńców formalnych. Z poczucia obowiązku społecznego chodzi jeszcze mniej ludzi. Przytłaczająca większość widzów piłkarskich idzie na mecze z tych dwóch powodów: p o p i e r w s z e — lubią jedną drużynę, p o d r u g i e — nie wiedzą czy wygra.

O, krajowi intelektualist! Myśliciele i prawodawcy sztuk pięknych! Wy, którzy w swych rękach dzierżycie zarówno pioruny walenia pięścią w stół, jak i sterty pochwalnych okłasków. Wybaczcie się na wykwipkę pogardy do spraw słoneczka, powietrza, ruchu i tego wszystkiego, co w Waszym pojęciu kojarzy się z grzesznym ciałem. Zechciejcie wejrzeć w tę oto mechanikę pogardzonej tak głęboko przez was piłki nożnej. Albowiem mimo swej znikomosci ukazuje ona nader wyrażającą jedną z podstawowych przyczyn knocenia przez nas i powieści, i zwłaszcza dramatu, i przede

wszystkim filmu. Knocenia w tej najważniejszej dla nas dziedzinie tematycznej. W dziedzinie t e m a t y k i i w s p ó ł c z e s n e j.

Albowiem, jeśli zanalizujemy mechanikę wpływu powieści dramatu — filmu na dusze ludzkie, wjrzymy, że tajemnica powodzenia jest ta sama, co i powodzenia piłki nożnej. Aby powieści nie chciało się odłożyć, aby sztukę czy film oglądać z zapartym tchem trzeba — po pierwsze — abyśmy uczuciowo poczuili się związani z bohaterami utworu, żebyśmy jednych pokochali, innych znienawidzili. Trzeba, żeby walka, którą toczą bohaterzy w utworze, nie była rozstrzygnięta z góry.

Mniejsza o pierwszy warunek. Mówiono o nim dużo od latnych paru lat, od początku dyskusji o schematyzmie. Oczywiście, jeśli na scenie czy na ekranie poruszają się marmurowe posągi — mustelibusy musi zostać zbroceniami, aby je pokochać. Oczywiście pierwszym warunkiem spełnienia pierwszej reguły dramaturgiki jest wprowadzenie na scenę postaci żywych. To jest takich, których zachowanie się nie warunkowane jest należycie ukazaniem cechami ich osobowości.

Albo jeśli nawet spełnimy tę pierwszą regułę, jeśli potrafimy stworzyć przez nas postaciom nadad przekonywujące psychologiczne kształty — nie wystarczy to jeszcze, aby zamierzony przez nas dramat zaczął działać. Jest jeszcze ta druga reguła. Aby walka trzymała widza w napięciu — nie może być ona rozstrzygnięta z góry.

Tymczasem — jak uczy nas dziesięciolecie doświadczenie — wystarczy, aby akcja dramatu czy filmu działała się w naszej epoce, aby widza z góry był przekonany, że ci dobrzy zwyciężą. Co gorsza, wśród teoretyków utarło się przekonanie, że tak być musi, że w naszym ustroju słuszna sprawa musi zawsze zwyciężyć i że wobec tego „uszelkie inne rozwiązania — oprócz „happy endu” — szkaluje naszą rzeczywistość.

Jest to klasyczny przykład wyciągania ze słusznych przesłanek jak najbardziej niesłusznych, szkodliwych wniosków. Owszem, w naszym ustroju, w którym wyszukujemy odsunięci są od wpływu na losy kraju — krzywdy, byle się ją w porę dostrzegło — musi być naprawiona. Czy to jednak znaczy, że nie dzieją się wśród nas krzywdy, czasem nie oduracalne?

Glupi antyklerykalowie przyłapawszy lokalnego proboszcza na stosunku z kobietą wyciągali z tego wniosek, że Boga nie ma. Oczywiście, niesłuszność religijactwa nie polega na tym, że jakiś tam ksiądz tamie głoszone przez swoją religię zakazy, ale na tym, że ko-

ciół jako organizacja stoi po stronie wyżyskiwaczy.

I, oczywiście, siła i słuszność naszego ustroju nie polega na tym, że już nie ma u nas dramatów, krzywd, niesprawiedliwości, tylko na tym, żeśmy usunęli przyczynę, z której rodzi się niesprawiedliwość i krzywdy, że w naszym ustroju są to przyczynki, że z każdym rokiem będzie ich u nas coraz mniej.

Czy to znaczy, że nie wolno ich ukazywać na scenie? Że nie wolno, zwłaszcza — w żadnym wypadku ukazywać czegośkolwiek innego poza „happy endem”?

Byłoby kłamstwem i oszczerstwem ukazać w sztuce, że w naszych warunkach krzywdy musi zwyciężyć. Ale ukazanie, że taka krzywdy ma o z e t r u a c i s k o d z i, ukazanie jej społecznych i psychologicznych korzeni, wiążących ją z poprzednią epoką historyczną, z kapitalizmem — nie jest

oszczerstwem na nasz ustrój, jest dla niego niezbędna pomoc.

Bo hepiedactwo, ten przymus pomysłowego zatławiania „pod kurtynę” wszystkich nierozwikłanych w sztuce kłopotów — nie tylko pozbawia nasze powieści, zwłaszcza zaś dramaty i filmy, niezbędnego ich atrakcyjności. Hepiedactwo jest groźnym schorzeniem, które ogranicza naprawdę wychowawczą, naprawdę mobilizującą rolę naszej sztuki.

Ukazujejmy na scenie czy na ekranie wrogów, sabotażystów, mordców, szpiegów w roli niewiarygodnych niedołęgów, których pięć minut przed dwunastą łapie za rękę nasze dzielne bezpieczeństwa. Ta ustawa raz na zawsze etykietą — zwłaszcza filmowa — sprawia, że zaczynamy tych wrogów wyobrażać sobie jako króla Heroda z szopki. Czyż król Herod potrafi nas o-

burzyć naprawdę i wzbudzić w nas prawdziwą nienawiść?

Hepiedactwo wypłykuje z naszych dusz bezlistność nienawiści, na którą przecież ci urogowie niewątpliwie sobie zasłużyli.

Ukazując, że takie przywary naszego dzisiejszego życia jak biurokracja, lizusostwo, cynizm, lekceważenie człowieka z r e g u ł y „pod kurtynę” są wyimowane bez reszty — rezygnujemy z najpotężniejszego czynnika wychowawczego, jakim rozporządza sztuka — z oburzenia na widok zła, z mobilizacji psychologicznej do walki z tym złem.

Bo klęska, jaka z r e g u ł y spotyka w naszych sztukach współczesnych biurokratów, cyników, lizusów, brutalni — wywołuje jedną generalną reakcję u widza: nie jest tak źle z tymi naszymi słabościami, bo przecież w sztuce dzielny sekretarz czy Rada Zakładowa poradzi sobie i bez niego, bez tego widza. A on może iść do domu i spać spokojnie.

Spać zresztą zaczyna jeszcze w teatrze

Hepiedactwo pod fałszywym płaszczykiem ochrony naszego ustroju przed oszczerstwami — w praktyce chroni przed gniewem artysty i społeczeństwa uszelki brud, któryśmy zastali w naszym domu po poprzednim kapitalistycznym gospodarzu.

Najważniejsze zaś, że choroba ta — sama nazwa o tym świadczy — zaiste jak stonka ziemniaczana — przywędrowała do nas z Ameryki, gorzej, z Hollywood. Że w dużej mierze zabiła ona amerykańską sztukę filmową — dziwił się temu nie należy: gdy się traktuje sztukę jako towar i kształtuje się ją na podstawie prawa popytu i podaży — sztuka przestaje być sztuką, staje się tandetą.

Bardziej zdumiewające jest, że tak długo panoszy się ta choroba u nas. Może plynie to stąd, że nasi krytycy i prawodawcy sztuki rzadko chodzą na mecze piłki nożnej i dlatego trudno im zrozumieć, dlaczego taki determinizm jest końcem sztuki.

Przypisek specjalnie dla red. prof. Szmidtowicza: wszystko powyższe bynajmniej nie znaczy, że żądam wprowadzenia w naszej tematyce współczesnej wyłącznie niepomysłnych rozwiązań. Głoszę tylko potrzebę uwolnienia się od przymusu „hepiedactwa” i żądam rozwiązywania dramatów zgodnie z logiką działających w nim sił i postaci. Wprawdzie każdy człowiek sam przez się to rozumie, doświadczenie uczy mnie jednak, że nie jestesie, profeszore rektorze, człowiekiem. Jesteście za-

nie znasz: powiedział sam, co poczniesz być grosza w kieszeni...” Śmieje się, i tyje „Jeżeli, mówię, że posady mnie wy-leja, wezmę i ożenię się z kupcowną”.

„Ktoraz, mówię, ktoraz to kupcowna pójdzie za ciebie, jak zostaniesz bez posady?” Znow się śmieje, jakby wcale nie o nim mowa!

Stary opowiadał, krejąc głową, ale uśmiechał się do siebie. Widać było, że bardzo szanuje swego doktora „bez pojęcia”, tylko nie pochwała jego sposobu życia.

Taki, dobry człowiek z Antoniego Pawłowa. Tylko na starość będzie mu trudno. Nie wie, co znaczy pieniądź”.

Stary chłop powiedział prawdę. Czechow wskutek draku praktyczności od końca swych dni nie mógł uwolnić się od trosk materialnych. Pieniądzy, kiedy je mówił, przęgał rozdawał.

Pomagał ludziom wiele, nie tylko pieniądze oczywiście, lecz też moralnie i intelektualnie. Dobroć jego, jak wszystkim w tym człowieku, oznaczająca się dyktowaniem, kłótni, pomagając, mógł nawet o tym nie wiedzieć.

Szczególnie troskliwe odnosił się do początkujących pisarzy. Szczepkina-napiernik wspomina: „Nie zdarzyło mi się spotkać pisarza, który był z takim cieniem i dobrocią odnoszący do młodszych kolegow, jak to czynił Czechow. Stało o kogos się starał po różnych redakcjach, czyjes utwory umieszczać i szczerze się cieszył, gdy znalazł w kimś ziarno talentu...”

Pomagał ludziom wiele, nie tylko pieniądze oczywiście, lecz też moralnie i intelektualnie. Dobroć jego, jak wszystkim w tym człowieku, oznaczająca się dyktowaniem, kłótni, pomagając, mógł nawet o tym nie wiedzieć.

Szczególnie troskliwe odnosił się do początkujących pisarzy. Szczepkina-napiernik wspomina: „Nie zdarzyło mi się spotkać pisarza, który był z takim cieniem i dobrocią odnoszący do młodszych kolegow, jak to czynił Czechow. Stało o kogos się starał po różnych redakcjach, czyjes utwory umieszczać i szczerze się cieszył, gdy znalazł w kimś ziarno talentu...”

Pomagał ludziom wiele, nie tylko pieniądze oczywiście, lecz też moralnie i intelektualnie. Dobroć jego, jak wszystkim w tym człowieku, oznaczająca się dyktowaniem, kłótni, pomagając, mógł nawet o tym nie wiedzieć.

Szczególnie troskliwe odnosił się do początkujących pisarzy. Szczepkina-napiernik wspomina: „Nie zdarzyło mi się spotkać pisarza, który był z takim cieniem i dobrocią odnoszący do młodszych kolegow, jak to czynił Czechow. Stało o kogos się starał po różnych redakcjach, czyjes utwory umieszczać i szczerze się cieszył, gdy znalazł w kimś ziarno talentu...”

Pomagał ludziom wiele, nie tylko pieniądze oczywiście, lecz też moralnie i intelektualnie. Dobroć jego, jak wszystkim w tym człowieku, oznaczająca się dyktowaniem, kłótni, pomagając, mógł nawet o tym nie wiedzieć.

Szczególnie troskliwe odnosił się do początkujących pisarzy. Szczepkina-napiernik wspomina: „Nie zdarzyło mi się spotkać pisarza, który był z takim cieniem i dobrocią odnoszący do młodszych kolegow, jak to czynił Czechow. Stało o kogos się starał po różnych redakcjach, czyjes utwory umieszczać i szczerze się cieszył, gdy znalazł w kimś ziarno talentu...”

Pomagał ludziom wiele, nie tylko pieniądze oczywiście, lecz też moralnie i intelektualnie. Dobroć jego, jak wszystkim w tym człowieku, oznaczająca się dyktowaniem, kłótni, pomagając, mógł nawet o tym nie wiedzieć.

Szczególnie troskliwe odnosił się do początkujących pisarzy. Szczepkina-napiernik wspomina: „Nie zdarzyło mi się spotkać pisarza, który był z takim cieniem i dobrocią odnoszący do młodszych kolegow, jak to czynił Czechow. Stało o kogos się starał po różnych